



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

O ŚWICIE.

(Przekład z Emanuela Geibel).

O dni wiosennych świcie,
W różanych blaskach zorzy,
Nie ukazuje życie
Swych zawad i bezdroży.
I wszystkie jego drogi
Do piękna wodą raję;
Wyżyny i rozłogi
W zielonym stoją maju.
Z jutrzemek łuną złotą
Zda się niebo otwiera;
Rozkoszą i tęsknotą
Łono młodzieńca wzbiera.
Dźwięk jakiś tajemniczy
W sercu mu się odzywa;
W upojeniu słodczy
Tkliwą piosenkę śpiewa...

I ze mną tak się działo
O życia mego wiośnie:
Coś w piersi mojej grało
I tęskno i miłośnie...
Śpiewałem, upojony,
O ziemi mej i niebie.
Rodzimy dźwięków tony,
Jak echo brałem w siebie.
I sam już nie wiedziałem
Co szło z mej duszy własnej...
Tęskniłem i kochałem,
Blask mnie okalał jasny.
Nie rachowałem czasu,
Czar mnie upajał miękki,

A cień padał od lasu,
Wietrzyk kradł mi piosenki.—
Rozniósł na cztery strony,
I ścigać je — daremnie!..
Jam został rozżalony,
Że zostałem tak odemnie...

ROZKOSZE ŻYCIA. 1)

WYKSZTAŁCENIE.

— Żadna rozkosz nie może równać się z uczuciem tego przekonania, że stoimy na gruncie prawdy — pisze Bakon, a Lubbock czyni zdanie to godłem rozdziału: *Wykształcenie*. Młodości nierazko ciężka praca, jakiej to wymaga, a bardzo wiele osób wyobraża sobie, że czas, przeznaczony na oświecenie umysłu naszego, zamyka się w okresie nauki szkolnej. Ale zdanie to jest najzupełniej mylne, bo jeżeli nauka ma coś znaczyć, musi mieć swój ciąg dalszy w życia latach już dojrzałych. Nieograniczona przez czas zdolność nabywania nauki jest razem przywilejem i błogosławieństwem ludzkości, — monarszym traktem jej pochodzenia przez dziedziny ziemi. — To nie oko nasze widzi piękność błękitów niebieskich, nie ucho odczuwa słodczy dźwięków muzyki — powiedział Taylor — ale duch nasz, któremu zmysły podają wrażenia swoje, a czem szla-

chetniejszym on jest i wyższym, tem doskonalszą i większą będzie rozkosz, płynąca człowiekowi z tego źródła.

Cóż dla dziecka znaczy odzianie go w gronostaje królewskie, lub widok gwiazd na niebie, słuchanie natchnionej mowy mędrca? Słowa nie znajdują oddźwięku w jego umyśle, blaski nie rozkładają się na pryzmacie jego uczucia piękna, pojęcie nie ogarnia znaczenia symbolu i istota ta niewyrobiona może doznawać tylko przyjemności zwierzęcia, lub idyoty. Wykształcenie umysłu rozszerza skalę przyjmowania wrażeń i podnosi stopień ich odczuwania; uczony angielski zwraca też uwagę czytelnika na szczegól, że nie używa on tu nigdzie wyrazu: *nauka*, bo ta jest środkiem tylko w dopięciu celu, ku któremu dąży. Nauka daje wiedzę, ta rozszerza zakres pojęć, które zmienione już w ten sposób, inaczej działają w człowieku i na człowieka, przez inny już wtedy jego pogład na świat i inne tego świata zrozumienie. Komu nauka nie da tego, nie da mu rzeczywiście nic, i z pokolenia takich to ludzi jest ten smutny, słaby Faust Goethego, który woła:

Posiadam już, niestety! filozofia,
Medycynę i jurisprudenca;
Na ciężką mą biedę teologią
Przestudyowałem wskrosz, z zapalem pracowitym;
I oto stoję tutaj z całym tym pakunkiem,
Biedny głupiec, nic nie mądrzejszy,
Niżeli byłem ongi...

Bakon powiedział, że „nauka nie powinna być ani łóżkiem, na którem się wygodnie odpoczywa, ani parkiem do samotnego spacerowania, — wieżą, z której szczytu patrzyło-by się z wysoka na ludzi, — fortecą, w której można się im opierać, — sklepem na skład zyskownego towaru; ale bogatą zbroją oraz skarbem chwały bożej i uszlachetnienia naszego“...

(1) The Pleasures of Life, by John Lubbock.

Mniej więcej to samo mówi nam szlachetnymi słowy Epiktet: — „Oddacie największą usługę państwu, jeżeli podniesiecie, nie dachy gmachów waszych, ale dusze obywateli, bo lepiej jest, aby wielka dusza mieszkała w małym domku, niż żeby nędzna istota rozpięrała się we wspaniałym pałacu.“

Tu Lubbock zastanawia się: czy dzisiejszy systemat kształcenia młodzieży odpowiada temu wielkiemu zadaniu? Czy przedewszystkiem daje on zamiłowanie nauki, co jest rzeczą najważniejszą, ważniejszą, niżeli nauka sama, i tu każe zwracać się po wskazówki do natury, która objawia kierunek zdolności przez kierunek upodobań do tych, a nie innych, przedmiotów nauki. Byron, mistrz romantyków, uczuwa w szkołach wstręt do Horacego, klasyka, i po ukończonym kursie nauk woła: — „Bywaj mi zdrów, Horacy! któregoś tak nienawidził (whom I hatred so!).“

Zanadto wielki zwrot do kształcenia młodzieży w jednym, panującym kierunku nazywa Lubbock „ogromnym błędem“ i każe brać tu pod uwagę instynkta uczącej się młodzi, która mało korzysta z nauki, niebudzącej w niej dostatecznego zajęcia. Pliniusz twierdzi, że powodzenie w nauce zależy od wesołego jej przyjmowania: „Studia hilaritate proveniunt“ i żąda, aby wykształcenie techniczne i w naukach ścisłych nie rozwielało się kosztem nauk historycznych i kształcenia literackiego, przyczem powstaje mocno na zbyteczny nacisk co do nauki języków obcych. Dowodzi to, że plaga wielojęzyczności panuje i w Anglii; że i tam nauczanie języków obcych, wprowadzone do edukacji młodzieży, nie jest skutkiem systematu, obmyślonego dla właściwych celów nauki — dla kształcenia umysłowości uczących się, ale dla względów niemających z tem nic wspólnego: dla względów światowości, dla względów kariery. Czuł to i wiedział już Locke, powstawał też przeciwko temu — powstawały i powstają tak dotychczas powagi w zakresie pedagogiki, dowodząc, że taki kierunek kształcenia nie rozwija wyższych władz umysłu, nie wyrabia siły myślenia, nie pozwala — przez brak czasu i dla nie przeciążania dziecka pracą — na naukę taką, która byłaby uprawą rozumu i szlachetnym podniesieniem myśli młodej. Kształcenie zawodowe nie powinno też stawać się przeszkodą w tem kształceniu, które rozwija w dziecku przyszłego człowieka.

Ucząca się młodzież powinna już nawet ze względów na naukę samą wierzyć w naukową wyższość nauczyciela; przecież Lubbock nie chce, aby ten nauczyciel przeceniał się i naukę swoją stawiał, jako coś najwyższego. Żąda nawet od niego, aby czynił wręcz przeciwnie: aby wykazywał, że nauka — to przestwory bez końca, to światy całe; że jest to ocean niezbadany jeszcze w całej rozciągłości swojej. To nietylko ustrzeże niejednego od zarozumiałości, ale rozbudzi we wszystkich szlachetniejszych umysłach chęć pracy, wiodącej ku celom wyższej wiedzy, da im pragnienie szukania tam nowych dróg, rozszerzających intelektualne państwo człowieka.

Kształcenie nasze nie powinno kończyć się wraz ze szkołą. Umysł potrzebuje ciągle stawy, posilającej go tak, jak posilamy ciało. W zastoju umysłowym tracimy nawet tę trochę wiedzy, którą wyniesiemy sobie ze szkoły, a w której szkoła sama widziała tylko początki — podwalinę daną dla gmachu umysłowości naszej. Człowiek sam sobie zbudować go musi: zbudować i opatrywać, aby nie pochylił się do upadku przez brak nowych podpór pod ściany już stare. Świat idzie naprzód, i kto nie postępuje, pozostaje w tyle zacofany, i gdy inni wyprzedzą go, uważanym już być musi przez nich za niedobitka, co przecież nie ma znaczyć, aby człowiek, czyniąc w umyśle swoim miejsce nabytkom nowym, usuwał z nich stare. Wyższość cywilizacji starych nad nowymi, na tem przecież polega, że posiadają nagromadzone zasoby wiekowych prac, badań, odkryć myśli ludzkiej.

Jakimkolwiek jest nasz zawód, urząd, praca obowiązkowa, powinniśmy stworzyć sobie obok tego jakiś przedmiot zajęcia, zamiłowanie jakieś, które umilałoby nam życie i dawało mu interes wyższy, niż zabiegi o chleb powszedni, lub stanowisko

między ludźmi. D największych rozkoszy życia zaliczyć to można, jeżeli człowiek zdoła znaleźć w sobie zdolność czerpania przyjemności ze źródła niezależnego od ludzi i losu. Nie można tu nic wyrokować, co jest lepszym, co pożądanym: sztuka lub nauka, czy umiejętność? To, ku czemu uczuwamy pociąg prawdziwy, co nam nie zostało podsuniętem przez względy poboczne ambicji, mody, przykładu — co wyszło z głębi naszej własnej, to jedynie może nam dać używanie tych przyjemności, nie konwencyonalne, ale rzeczywiste, zdolne niejednokrotnie wynagrodzić zawody życia i dać nam uśmiech wesela, niespotykanego na innych ścieżkach naszego istnienia. Nawet najszczęśliwsi, najlepiej zabezpieczeni przeciwko zmienności losu, powinni wiedzieć i pamiętać o tem, że cierpienia i straty spotykają ludzi nagle i niespodziewanie, że nikt nie może całkowicie zawarować się przed niemi, a gdy nadejdą, jakimże-to nieoszacowanym w walce przeciwko nim sprzymierzeńcem człowieka jest zamiłowanie jakieś, zdolne dać mu choć pewne chwile zapomnienia o troskach i ciężarach przyniatających życia!

— Umysł wykształcony — pisze Mill — umysł niekoniecznie mędrca, filozofa, ale takiego tylko człowieka — dla którego źródło wiedzy już zostało otwartym, który do pewnego choć stopnia zdolnym jest tu działać, — znajdzie sobie niewyczerpane nigdy zajęcia w otaczającym go świecie. Natura, sztuka, wyobraźnia mniej więcej rozwinięta, dzieje ludzkości, przeszłość jej i przyszłość — wszystko to da mu do tego sposobność nigdy go nieomijającą. Bywa przecież, że człowiek staje się obojętnym na to wszystko, wtedy nawet, gdy nie wyczerpał jednej tysiącznej części wiedzy o tych przedmiotach; ale takie zobojętnienie, odwrócenie się takie od wszystkiego, zdarza się tylko u ludzi, których nie przejmował nigdy prawdziwy zapał dla wielkich idei, dla wielkich celów ludzkości, w których nie było nigdy prawdziwie humanitarnego zajęcia się temi rzeczami — zajęcia, któreby szło dalej, niż zadowolenie ciekawości własnej...

Lubbock, jak się sam wyraża, został raz pociągnięty przed sąd krytyki za zdanie, że przyjdzie czas, w którym rzemieślnik, człowiek zajęty pracą mechaniczną, będzie takim samym, jak ludzie klas innych, zamiłowaniem czytelnikiem książki, dającej mądrość, i obecnie nie cofa on tego zdania, bo od czego jest postęp na drodze cywilizacji? Rozpowszechnienie nauki szkolnej, tanie książki, zakładanie odpowiednich bibliotek — wszystko to, jak się uczony ten mąż spodziewa, może spowodować taki cywilizujący, uszlachetniający skutek. Wierzy on nawet, że szczęśliwym wynikiem takiego stanu społecznego byłoby zmniejszenie się nędzy i cierpienia pomiędzy ludźmi, bo są to po największej części owoce ciemnoty i nierozbudzonego wśród klas niewykształconych interesu dla szlachetnych i wyższych celów życia.

Niech tylko pragnienie nauki, nauki zamiłowanie zostanie wśród tych warstw społeczeństwa zaszczerpionem; nauka znajdzie się następnie, przez tę mocną i nieprzymuszoną wolę człowieka, który zawsze osiąga to, czego pragnie szczerze i głęboko.

Trzeba przedewszystkiem działać tu przez wychowanie. Można osiągnąć nieraz wielkie skutki drobnymi napozór środkami. Aby przecież było to rzeczą możliwą, należy odpowiednio kształcić człowieka od dzieciństwa. Niech każda przechadzka dzieci w pole, do lasu, pokaże im, że wszelka zdobycz w zakresie umiejętności; ma swój interes żywotny, że historia tego kawałka ziemi, na której żyją, i ludzi, którzy byli ojcami ich ojców, jest pełną rzeczy ciekawych, obrazów życia wielkich i wspaniałych, które każą bić sercom w ich piersiach młodych. Nauka pokaże im się wtedy wielką siłą, potrzebną w życiu każdemu; zrozumieją jej korzyści, jej dary, i w ten sposób prowadzone wychowanie, nietylko przez rodziców, ale przez szkołę, wprowadzi w pierś ludzi najpierw ciekawość wiedzy i jej pragnienie, następnie zamiłowanie do niej i uczucie potrzeby podpierania się nią w życiu — w życiu pracy.

Mądry systemat wychowania wykaże ostatecznie, że człowiek wie dotąd bardzo niewiele, że może dowiedzieć się nieskończenie więcej i że dowiedzieć się powinien, jeżeli nie chce pozostać ciemnym, jeżeli nie chce skazać się na smutne, jednostajne wegetowanie wśród świata, który przecież otacza go tysiącami cudów, ujawniających się oczom umięjącym patrzeć — rozumowi zdolnemu postawić je przed myślą naszą. Wiedza jest razem rozkoszą i potęgą, i ona-to wspomódz nas może, abyśmy wraz z Miltonem „ogłędali oblicze prawdy w wśród ciszy i spokoju pracy naszej“, abyśmy czuli tak, jak Bacon, że „żadna rozkosz nie może równać się z uczuciem tego przekonania, iż stoimy na mocnym gruncie prawdy.“ Wtedy też wywiążemy się, choć w części — bo rzadko kto uczynić to może w całości — z obowiązków, włożonych na nas przez otrzymane dary zdrowia, sił i użyczonego nam przez wieczność czasu — to jest życia.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA

(Dalszy ciąg).

W tych warunkach silniejszym musiało być wrażenie, jakie na młodej, zapoznawanej dziewczynie sprawiał doświadczony bywalec salonowy; mimo to nie zdawała sobie sprawy, czy owa skłonność, którą miała dla niego, była w rzeczy samej ową miłością, o jakiej marzą młode panienki po przeczytaniu pierwszych kilku książek powieściowych, zobaczeniu kilku dramatów na scenie i po pierwszych poufnych rozmowach z zameżnemi przyjaciółkami?..

Nie wiedziała tego, czy kocha barona, jak nie wiedziała również, czy jest kochaną; w tym stanie nieświadomości dwóch uczuć, stanowiących dopiero spólnie błogosławioną serc ludzkich na ziemi, zaskoczyła ją wiadomość z ust brata:

— Baron mi się oświadczył o ciebie.

Tak mało przygotowaną była, mimo wszystko, na tę ewentualność, tak sobie co innego wyobrażała pod tem, co powinno poprzedzać ostateczny cel dwóch serc do siebie zbliżonych, że oszołomiona była prawie niespodzianką, wspomnianą jej wprawdzie niejednokrotnie, ale wspomnianą zawsze w sposób żartobliwy — ot tak, jak się to mówić zwykło dla zakłopotania panien na wydaniu.

A teraz tak nagle, bez wszelkiego wstępu, baron się oświadczył i za chwilę miał z nią poważnie porozmawiać, to znaczyło: miał jej powiedzieć, że prosi o jej rękę, że pragnie ją poślubić, dać jej swoje nazwisko, swój tytuł, siebie samego...

No, dobrze, a serce?..

O sercu nie było dotąd mowy.

Czyż to można tak odrazu wychodzić zamąż, bez kochania się bardzo a bardzo poprzednio, bez poznania się głębiej, bez porozumienia we wszystkim, na całe życie — czyż to tak można?..

Widocznie można, widocznie wystarczają w tym świecie tylko te pozorne warunki, ta skłonność towarzyska, która się budzi w salonowej atmosferze, w tańcu, w rozmowie przy świadkach, byle inne względy odpowiadały sobie.

Miłość przyjdzie później, po ślubie, zejdzie jak zasiane ziarno.

Więc to tak można serca sprzedawać i kupować, jak zboże na pniu, za tytuł, za złotą obrączkę, za posag?.. widocznie można, kiedy się tak dzieje w świecie.

A gdyby się oprzeć zwyczajowi?... gdyby się zrewoltować?... wtedy co?...

Takie myśli bezładnie przelatowały przez głowę Lizy, jak ptaki wypłoszone z otwartej klatki.

Z rączkami splecionymi na kolanach siedziała w ciemnym pokoju i w najtajniejszej rozmowie z jedynym swym powiernikiem, z własnym sercem, odbywała naradę.

Zapomniała, że tam w salonie nieobecność jej musi wreszcie zwrócić uwagę, że jej szukać zaczyna, że przyjdą aż do zaciemnionej garderoby i znajdą ją w kącie siedzącą, zadumaną, wzburzoną, że ją wywloką z tej kryjówki i wyprowadzą znowu na światło oko w oko z baronem, który — ma z nią poważnie porozmawiać.

— Lizi!... Lizka!... jesteś tam?... — odezwał się głos pani Wandy w przyboznym pokoju. — Gdzieżeś ty się podziała?

— Stała we drzwiach i zaczęła się rozglądać w ciemności.

— Liza!.. niema jej!..

Dziewczyna instynktowym ruchem się zdradziła.

— Ach, jesteś tu?—zawołała z radością w głosie pani Wanda, podchodząc do niej szybko — schowałaś się, jak kopcuszek?... no cóż?... wiesz już, mówił ci Karol?... Czy ty płaczesz?... niebądźże dzieckiem!.. cudownie się wszystko składa. Będziesz miała ślicznego męża. Nie uwierzysz moja droga, jak się cieszę! Ja zaraz coś zmiarkowałam, jak tylko weszli. Nie darmo tak długo siedzieli tam w gabinecie... No, chodź, chodź; przecież nie można dać czekać baronowi samemu... Ach, jakaś ty szczęśliwa!.. no, patrzaj, pójdziesz zamaż jeszcze w tym karnawale!..

Objęła ją rękoma i zaczęła całować po skroniach i po głowie z pieczętą.

— Otrzyj oczy i wychodź z tego kąta!.. a niezapomnij sobie twarzy trochę upudrować.. Nie trzeba, aby widział, żeś płakała z radości.

Chwyliła ją za rękę i podniosła z siedzenia, ciągnąc do drugiego pokoju.

Gdy się znalazły w świetle, pani Wanda ze zdziwieniem spojrzała na twarz Lizy; twarz ta była bledszą jeszcze, niż zwykle, a oczy suche, bez śladu łez, tylko jakieś głębsze, ciemniejsze i smutne.

— Toś ty nie płakała tam w kącie?

Plasnęła w ręce ze śmiechem.

— A mnie się zdawało... No, patrzcie państwo!.. dobrze zrobiła, moja droga, masz rozum. Czułości w takich chwilach wyszły dawno z mody. Przecież małżeństwo to nie śmierć, prawda?... jeszcze takiel... No, chodź, nie potrzebujesz się pudrować, nic nie znać po tobie. Wejdzmy obie, jakbyśmy się niczego nie domyślały.

Liza odwróciła głowę; wesołość bratowej raziała ją, rzekła krótko:

— Idź sama, ja tam przyjdę za chwilę, tylko się wody napiję.

— Może chcesz z sokiem?—spytała skwapliwie pani Wanda, uspokojona już zupełnie co do moralnej równowagi przyszłej baronowej i poszła do lustra poprawić sobie włosy z tą instynktowną kokieterią kobiety, która, choć sama nie jest bohaterką sytuacji, przejmuje się nią za drugich i chce w niej—dobrze wyglądać.

— Moja Lizi, a pośpiesz się. Takbym chciała, żebyście się już z sobą rozmówili ostatecznie!.. Zobaczysz, jak ja wam to ślicznie ułatwię.

Wymknęła się szybko z sypialni i za chwilę słychać było jej głos z salonu, strofujący Wilusia i Tonię, że umęczały barona, ciągnąc go koniecznością do fortepianu, jedno za jedną, drugie za drugą rękę, aby im zagrał krakowiaczka.

Karol, poprosiwszy swego gościa, zabrał Grzysieckiego i obaj zeszli na poufną naradę o interesach do kantoru.

Gabinet młodego szefa firmy różnił się wielce od fabrycznego biura pod względem urządzenia i komfortu; znać tu było zbytek i wystawność. Sufit pokrywały bogate stiuki, zręcznie naśladowane rzeźbioną boazerią, z dowcipnie pomyslanym efektem w wykrojonym niby nad samem biurkiem otworze, przez które widać było malowany szmat błękitnego nieba z przejrystymi obłoczkami. Tapety drogic ciemne, *cuir dorée*, połyskiwały

w gazowem świetle złotą łuską gryfów i egzotycznych roślin; wysokie lampery z ciemnego drzewa opasywały dokoła wszystkie ściany, dywan wyścielał posadzkę, gustowne, rzeźbione meble, olbrzymia szafa gdańskiej roboty i stary zegar z wahadłem, ustawiony w kącie gabinetu, zastosowane były do urządzenia stylowej całości.

Grzysiecki rozparty tu w fotelu, z teką rozłożoną na kolanach, głosem profesora wykładającego w auli uniwersyteckiej *ex cathedra* objaśniał po kolei zawikłane kwestye finansowych spekulacji i prawnych podstaw rozgałęzionych przedsięwzięć swego klienta.

— Pindter i Chramicki odstępują nam swój udział w cukrowni Burakówka,—mówił, solidaryzując się z interesami swojego klienta—ale żądają całej gotówki odrazu. W danym wypadku musielibyśmy zaniechać chwilowo układów o nabytciu kopalni rudy żelaznej w Krymie i o założeniu akcyjnego towarzystwa do eksploatacyi tego przedsięwzięcia jeszcze w roku bieżącym. Burakówka obiecuje dać do trzydziestu procent dywidendy: kasek nie do pogardzenia,... Pindter musi się wynieść do Berlina, Chramicki ma nóż na gardle: należałoby korzystać...

Karol słuchał tego z nabożeństwem.

— No, tak, ale co wybrać z tego wszystkiego? — zawołał, korzystając z chwilowej przerwy—*embarras des richesses*.

— To już rzecz pańska.

— Co do mnie nie wypuściłbym niczego z ręki.

— Wierzę; ale *trop prendre en bras*...

— No, tak, jednak jak nie brać, kiedy samo wchodzi w garść!..

— Poradz się pan czyjegoś doświadczenia starszego, pomów z ojcem.

Karol się uśmiechnął ironicznie i ramionami wzruszył.

— Dajże pan pokój!.. pocziwy stary nie zna się na tem. Ramolci!.. za jego czasów robiło się pieniądze po złotówce i składało w maminią pończoszkę. Chciałbyś mecenas, żeby ci ludzie starej daty znali się na dużych spekulacyach!.. *La grande vitesse* głowy—by im zawróciła.

Grzysiecki westchnął lekko i zabrał się znowu do papierów.

— Zostawię panu w każdym razie przedwstępna ugodę z Pindterem i projekt towarzystwa akcyjnego — mówił — trzeba to rozpatrzyć, obrać chować i namyślić się przed ostateczną decyzją!

Karol ujął ręką plik aktów i wrzucił je do szuflady.

— Strach—rzekł z uśmiechem—co to pracy kosztuje ten pierwszy milion!.. nikt-by nie uwierzył.

— Tak—wtrącił Grzysiecki — ale następne już się same robią; trzeba je tylko w ruch puścić i trafić na szczęśliwą chwilę.

— Ale, ale...—zagadnął go nagle Fatt—a jak stoi kwestya pożyczki w banku?

— Zapewniona; bądź pan spokojny, ja przecież się tem zajmuję, — odparł adwokat z lekceważeniem. —Gdzieżby dziś zresztą firma „Fatt i Syn“ kredytu nie znalazła!..

Karol spojrział ukradkiem na zegar.

— Czy mecenas ma dużo jeszcze dzisiaj spraw dla mnie?—spytał.

— Byłoby sporo; — może panu śpieszno?... załatwimy tylko najpilniejsze w takim razie.

— Chciałbym wyjść po dziesiątej.

Grzysiecki wyciągnął swój złoty chronometr, skrzywił się, jakby go zęby zabolowały, i rzekł z grymasem:

— Ja także nie mam czasu na te ciągłe konferencye, które odkładamy z dnia na dzień. Każdą godzinę mam zajęta. Znajdź pan raz sobie cały wieczór wolny, żebyśmy mogli wyczerpująco sprawę naszą załatwić.

Miał minę męczennika, który się poświęca bez uznania.

— Ależ, mecenasie kochany, ja przecież jestem na każde zawołanie, — wpadł mu szybko w słowa Karol i ożywionym ruchem przysunął się bliżej.

Obliczył sobie, że do skończenia „Orfeusza“, pozostaje jeszcze przeszło pięć kwadransy.

Konferencya rozpoczęła się nanowo.

Tymczasem na górze, w błękitnym gabinecie, obok salonu, odbywała się zapowiedziana „powa-

żna rozmowa“ barona z Lizą przy akompaniamencie fortepianu, na którym pani Wanda ze szczególniejszą brawurą wygrywała strausowskie walce i kadryle z „Pierścienia rodzinnego“.

Od czasu do czasu zwalniała tempo i przyciszała grę, jakgdyby podchwycić chciała wątek rozmowy, a przekonawszy się, że przyszła para narzeczonych nie wyczerpała widocznie swego tematu, dla ułatwienia im tej pierwszej sytuacji w cztery oczy, grała znowu luźniej z zacięciem zapamiętałej taneczniczki, która gotowa była sama z fortepianem puścić się walca po salonie.

Na tle tej skocznej muzyki, baron spokojnie, zwolna, głosem nastrojonym poważnie przemawiał do Lizy, stojącej we framudze okna i obrzuconej półcieniem firanki, pokrytej niebieską jedwabną portyera; oparty o marmurową konsolę na złoconych nogach, mówił, bawiąc się hebanowym nożykiem do rozcinania książek, nie spuszczać z oka bladej twarzy dziewczyny, jakgdyby badał na niej wrażenie każdego swego wyrazu i stosownie do niego wzmacniał lub osłabiał siłę swojej wymowy.

Liza słuchała ze spuszczoną głową, związając i rozwijając machinalnie w palcach koniuszeczki kremowej wstążki, którą naszyty miała stanik i od czasu do czasu podnosiła na mówiącego swe duże oczy, jakby przekonać się chciała, czy słowem jego odpowiada wyraz twarzy.

— Jeżeli odważyłem się prosić o rękę pani—mówił Apcio w dalszym ciągu swoich wywodów o związku małżeńskim—to uczyniłem to po rozwadze dłuższej i dojrzałszej, niżby ktokolwiek mógł przypuszczać. Nie chcę przed panią ukrywać: jestem stary, bardzo stary nawet w porównaniu z panią; mam przeszło wiek cały na swoich barkach...

Liza spojrzała na niego pytająco.

— Tak pani — objaśniał dalej z retorycznym efektem — mam sto lat doświadczenia w tych trzydziestu kilku latach życia, które liczę. Mam przeto prawo nazywać się człowiekiem dojrzałym; za to, co czynię, mam obowiązek przyjmować całą odpowiedzialność. Pierwsze pytanie, jakie sobie zadałem w chwili, gdy mi błysnęła śmiała myśl prośnienia o rękę pani, było: „czy potrafię być szczęśliwym mężem przy boku takiej żony?“..

Dziewczyna znowu podniosła oczy i spotkała się ze wzrokiem barona.

— Wydaje się pani to egoistycznym,—nieprawdaż?—że najpierw pomyślałem tylko o własnem szczęściu — podchwycił w lot Apcio, jakby odpowiadając na milczące zapytanie dziewczęcych oczu—ale chciej mi pani pozwolić, abym się odrazu wytłómaczył, zanim sama rozwinięsz tę wątpliwość. Tak, zapytałem się, czy istota podobna pani, panno Lizo, potrafi jeszcze uszczęśliwić człowieka takiego, jak ja, bo od tego zależałaby przyszłość naszego związku; mam bowiem to przekonanie z życia, z obserwacyi nad małżeństwami, które widziałem, z teoryi, którą sobie wyrozumowałem, że tylko szczęśliwy mąż może prawdziwie uszczęśliwić żonę. I kiedy tę wątpliwość najwazniejszą usunąłem po lepszym poznaniu pani—w tem miejscu pochylił jakby z holdem głowę przed Lizą—byłem spokojny co do tego, czy potrafię dać pani szczęście, na jakie zasługujesz. Wtedy ośmieliłem się uczynić krok stanowczy, rozmówiłem się otwarcie z bratem pani, a teraz do właściwej instancyi zanoszę moją pokorną prośbę.

Mówił to tak płynnie, gładko z tak wybornymi akcentami w dykcyi, jakgdyby się wymowy uczył u najpierwszych mistrzów retoryki.

Nastąpiła krótka przerwa, podczas której Liza kilkakrotnie chciała przemówić, ale głos jej odmawiał posłuszeństwa.

— Jednak—zaczęła po chwili — co panu dało tę pewność, że mógłbyś być szczęśliwym w związku z mną?... czy poznałeś mnie pan tak dobrze?... pierwszy raz rozmawiamy z sobą dopiero w ten sposób i o rzeczach tak ważnych.

Apcio uśmiechał się prawie niedostrzegalnie i odparł:

— Czy pani sądzisz, że dla mężczyzny doświadczonego, znajomego kobiety nawskróś — proszę mi tę zarozumiałość wybaczyć! — potrzeba tak dużo, aby zajrzeć w głębi młodej, szczerzej, czystej, choć

zamkniętej duszy dziewczęcej?... A potem, czyż trzeba być do tego koniecznym bardzo bystrym obserwatorem, aby... w tej sferze dostrzedz wyjątek, jaki pani stanowisz wobec całego swego otoczenia?... Wystarczyło mi tylko patrzeć na panią zdaleka a zblizka zamienić słów kilka, aby się upewnić, że w twojej duszy, jak w owych staroświeckich szkatułkach na klejnoty i dokumenta, jest drugie dno, na którym spoczywają ukryte najkosztowniejsze niespodzianki.

Liza drgnęła i tym razem oczu podnieść nie śmiała na barona, który się jej wydał nagle jaśniejącym czarodziejem.

Pierwszy człowiek w życiu odgadł tę tajemnicę jej duszy i tak śmiało powiedział jej w żywe oczy, że ją przejrzał do gruntu, że poznał się na niej.

A mówił to wszystko językiem tak odmiennym od tego, który słyszała ciągle dokoła siebie!

Zdawało się jej, że jest oszołomiona, że weszła nagle w jakiś inny świat, o którym dawniej tylko marzyła, który zaledwie przeczuwała.

A jednak w brzmieniu tego głosu, który się mieszał z dźwiękami wesolych tańców, jakby przedrzeźniającymi treść jego słów, ów chłodny, spokojny, pewny ton wytrawnego wirtuoza pięknej wymowy, było coś, co instynktownie raziło zasłuchaną i drżącą w głębi serca dziewczynę. Do uczucia błogiej rozkoszy, wdzięczności, zachwytu — mieszało się uporczywie jakieś niedowierzanie, jakby ostrzegający głos drugiej istoty.

Stała przed nim, jak zahypnotyzowana jego spojrzem i czarem wymowy, któremu ulegała z biernością posłusznego medium, pozbawionego woli i swobody ruchów.

Baron spoglądał na nią i hebanowym nożykiem bębnił zlekka po swoich długich, starannie opiłowanych paznogiach.

— Po tym zadługim wstępie, którym pozwoliłem sobie poprzedzić ostateczne zapytanie co do moich nadziei — zaczął zniżonym nieco głosem — pozostaje mi tylko, panno Lizo, wyciągnąć rękę do pani i czekać, czy mi swoją dłoń podasz na znak zgody i zaufania.

Przy tych słowach zbliżył się o krok do niej z ręką wyciągniętą.

Dziewczyna stała zmieszana, blada, niezdecydowana, miotana najsprzeczniejszymi myślami, miała uczucie, jakgdyby ta ręka, która w powietrzu oczekiwała jej dłoni, była magnesem, przyciągającym ją wbrew jej woli i machinalnie, automatycznie niemal wyciągnęła rękę ku baronowi ze słowami:

— Ale zaufanie trzeba wprawdzie zdobyć... ja... ja...

Nie umiała dokończyć; uczuła, jakby ją prąd elektryczny przebiegł całą od dotknięcia palców barona, który na jej rączce złożył swe usta i trzymał je, niby pieczęć coraz mocniej przyciskaną, przez długą, długą chwilę...

Pocałunku takiego nie знаła jeszcze w swem życiu; chciała wycofać swą rękę, ale delikatnie, choć z oporem przytrzymał ją baron w swych dłoniach i drugi pocałunek jeszcze głębszy wycisnął na jej paluszkach.

Nie uważali oboje, iż muzyka w salonie ustąpiła od kilku chwil i że we drzwiach tej ostatniej scenie przyglądała się pani Wanda z uśmiechem wielkiego zadowolenia na ustach, z oczyma błyszczącymi radością, z rączkami podniesionymi w górę, jakgdyby do błogosławieństwa.

Ani baron, odwrócony do niej plecami, ani Liza nie zauważyli jej obecności, dopiero gdy plansnęła w ręce i nagle stanęła tuż przy nich, ocknęli się i wyszli z framugi.

— A to ślicznie! — zaczęła pani Wanda niby zgorziona — ślicznie!... korzystać z nieobecności osób starszych i gruchać sobie w kąciaku!... Czekajcie, zaraz poszuję po Karola i wszystko mu opowiem, jak wy się tu sprawujecie.

Baron z ukłonem, nie puszczając zawsze jeszcze ręki Lizy, odparł:

— Co do mnie, jestem spokojny, bo się o pozwolenie jego wprawdzie postarałem.

Z miną urażoną, z którą jej było bardzo do twarzy, pani Wanda przerwała mu:

— A o moje?...

— O nie właśnie mam zamiar w tej chwili poprosić.

Nie miał czasu dokończyć, bo uczuł, że ręka Lizy w jego dłoni sztywnieje; rzucił okiem na bladą dziewczynę z przymkniętymi powiekami, chwiejącą się na nogach, zmienioną do niepoznanania i chwycił ją wpół w samą porę.

— Co to?... panna Liza mdleje? — zawołał, unosząc lekko bezwładną i nieprzytomną dziewczynę w swoich objęciach, aby ją złożyć na fotelu...

— Zemdląca?!... Lizka co tobie?... to ze wzruszenia!.. proszę, zadzwoni pan na służącego, trzeba ją ocucić... to przejdzie... Niech poproszą Karola z kantoru!..

Krzącano się około ocucenia omdlałej Lizy, która z głową w tył przechyloną, z zacisniętymi ustami leżała bez przytomności, jakby bez życia.

Służący wysłany do kantoru powrócił z wiadomością:

— Pan przed dziesięcioma minutami wyszedł z panem adwokatem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LIST Z WŁOCH.

Najważniejszym, najwięcej w obecnej chwili poruszającym całe Włochy wypadkiem, jest śmierć księcia Aosty, młodszego brata króla Humberta, bardzo przez cały naród kochanego i godnego tej miłości. Człowiek był szlachetny, rycerskiego usposobienia, natura w wysokim stopniu uczuciowa i dobroci pełna; śmierć jego jest też dla całych Włoch boleścią narodową — żalobą publiczną. Stosunek narodu włoskiego do dynastji sabaudzkiej jest przepiękny — jest wdzięcznym przywiązaniem ludów italskich za wskrzeszenie Włoch, które pod uciskiem Austrii stały się już tylko jednostką geograficzną. Dwie niewymownie piękne postacie zarysowały się na koniecie na szawem tle tego wegetowania, tej ruiny wielkiej przeszłości: Pius IX i Wiktor Emmanuel, król Piemontu i wzruszyły się ludy półwyspu Apenińskiego — przewiało wskrószyć ich technienie, do życia budzące. Napoleon III miał też w tem coś udziału, ale zasługa główna: czyn, który dał temu krew i ciało, to należy w całości do Wiktora Emmanuela i spadkiem zasługi, spadkiem miłości narodu włoskiego dla dynastji *Re Liberatore* dostaje się królowi Humbertowi i młodszemu jego bratu, Amadeuszowi, który na własny rachunek czynów, uczuć i myśli przedstawia osobistość rzadkiej szlachetności: wzniosłość charakteru, połączoną z istic rycerską wspaniałomyślnością i gorącością uczucia, gotowością do ofiar, do poświęcenia się dla idei — z miłością Włoch zwłaszcza.

Urodzony w 1845 r. jako królewicz Piemontu, młodszy o rok tylko od Humberta, przez starszeństwo wieku przeznaczony do odziedziczenia korony, odznaczał się od lat najmłodszych wielkim przywiązaniem do brata, do rodziny w ogóle — do wszystkiego, co kocha szlachetne serce ludzkie, i upatrywano też w nim przez rycerskie rysy charakteru pewne podobieństwo do wielkiego jego porzodka, tego Eugeniusza Sabaudzkiego, który walczył pod Wiedniem obok Jana III i jedyny z orszaku książąt i wodzów, walczących pod wodzą tego króla, miał dość niepodległej wielkoduszności, aby oddać należną cześć załudze i męztwu *Obroncy Chrześcijaństwa*. Wiktor Emmanuel chciał w synach swoich przygotowywać dla Włoch żołnierzy i książę Amadeusz, który podzielał z bratem wychowanie wojskowe, został zapisany przez ojca w piętnastym roku życia do armji piemockiej, do piątego pułku piechoty w brygadzie Aosta. W 1865 walczył w wojnie przeciwko Austrii; w nieszczęśliwej dla Włoch bitwie pod Custozzą bił się walecznie, a nawet

bohatersko, bo gdy szyki włoskie zaczęły się już w pewnych punktach łamać pod naciskiem Austriaków, on, prowadząc w ogień swoją brygadę i przodując jej z pałaszem w ręku, dostał kulą karabinową w pierś i młode życie ocalił tylko ten traf szczęśliwy, że kula natrafiła na mosięzną kłamrę u naramiennika. Młodzieniec to był jeszcze delikatny, a uderzenie było snadź silnem, bo zemdlął. Złożony na wozie ambulansowym, zaraz po przyjsciu do przytomności wrócił do myśli o sprawie ogólnej, zawołał, aby zbierano i mieszczono obok niego rannych, a młode to życie, tak szlachetnie umięjące przyjąc pierwszą próbę cierpienia, niezatrwożone samolubnie przez spotkanie się oko w oko ze śmiercią, już zdało jakoby examen z najpiękniejszych przymiotów człowieka. Królewicz kochał coś więcej nad siebie i dlatego trwoga o istnienie własne nie znieczuliła w nim tych uczuć podniosłych, które potem były przez życie całe w piersi jego. Przyznano mu złoty medal wojskowej zasługi: „za waleczność“ i od tego-to czasu został gorąco pokochany przez wojsko, a potem przez naród.

I on go kochał również do ostatniego tchu pierśi uczciwej. W 1870 r. został wezwany na tron hiszpański przez Stany tego Królestwa. Miał wtedy lat dwadzieścia pięć. Ożeniony w 1867 r. z bogatą panną spośród bogatej szlachty piemockiej, Maryą del Pozzo della Cisterna, a którą pojął z miłości; przywiązany gorąco do ziemi rodzinnej, związany węzłami rzadkiej w wysokich sferach miłości z bratem starszym, Humbertem, nietylko nie ubiegał się o koronę hiszpańską, ale przyjmował ją może najwięcej ze względów polityki — idei związku ludów łacińskich; lecz walka stronnictw, ścierających się ze sobą na Półwyspie Iberyjskim i niedozwalająca żadnemu rządowi sprawowania władzy, któraby dzwignęła Naród Hiszpański z anarchii — z moralnej i materialnej nędzy, nie czyniła mu tego panowania miłym. Mało co dłuższe nad lat dwa były rządy jego nad tą krainą, bo gdy przekaonał się, że mimo woli najlepszej, mimo starań najgorliwszych nie dla jej szczęścia, dla jej podzwignięcia się uczynić nie może, abdykował w 1873 r., a akt to był pełen szlachetności i godności podniosłej. Nie ambicya osobista, nie miłość własna górowała w tej pięknej istocie uczciwego człowieka.

Za powrotem do Włoch osiadł w Turynie, gdzie w trzy lata potem stracił młodą, bo niemającą jeszcze lat trzydziestu, żonę, która była mu drogą życia towarzyszką i matką trojga dzieci — trzech synów. Głos lekarzy przypisywał tę śmierć, tak wczesną, trwogom i niepokojom przebytnym w Madrycie, gdzie biedna drżała ciągle o życie męża i dzieci. Dla tego męża był to cios bolesny, zwłaszcza, że gorycz straty mogła się potęgować przez przyczyny, które ją spowodowały, i niejednym mniej głęboko dobry człowiek, byłby się zatrul goryczą mizantropii, byłby się stał twardym i zimnym, ale on zdołał unieść po nad boleść doznaną całą swoją miłość ludzi, całą zdolność wyrozumienia i przebaczenia, jaką nawet wobec strat i boleści osobistych mają zawsze natury szlachetne. Dobroczynność jego była niezmierną, tak jak dobroć serca niewyczerpaną, i lud Turynu tak go kochał, że przez tę miłość poufalił się z nim tklawie, uważał go za coś wyjątkowo swojego, nazywał „Il nostro Amadeo“ i byłby z miłości rzucił się za nim w ogień.

On to wiedział i robiło mu to przyjemność — przyjemność wielką; lubił mieszać się pomiędzy ów lud dobry, a szczególnie dzieci, kobiety przypuszczał do siebie na spacerach zamiejskich, nie przybierając wcale incognito żadnego. Wszyscy go też znali, a to serce czyste kochało wszystkich. Kochało w każdym Włocha, współrodaka i było to owocem jego uczuciowości wielkiej, że miłość kraju nie zamykała się u niego w idei — ale rozciągała się na ludzi. Zwłaszcza z żołnierzami, którzy walczyli za niepodległość Włoch, ten syn i brat królewski, ten król wreszcie, bo przecież i on nosił koronę, był poufaty jak kolega z kolegami i oni to pierwsi nazwali go: *Il nostro Amadeo*.

Brata kochał z jakimś odcieniem uwielbienia i tą miłością, która zawsze była młodą i jakgdyby chłopięcą. Gdy król Humbert w czasie owej hi-

starycznie we Włoszech, strasznej cholery z 1883 r., przypominającej, zwłaszcza w Neapolu, średniowieczne okropności zarazy morowej, udał się tam dla dodania ducha biednemu, dziesiątkowanemu przez nią ludowi, on jechał tam z nim razem, aby dzielić niebezpieczeństwo, a rys to dostatecznie wykazujący, czem w sercu jego była miłość braterska. Biorąc rzecz pozytywnie, nie był on tam na nic potrzebny temu bratu, mającemu obok siebie lekarzy i troskliwie nad zdrowiem jego czuwających ludzi, ale serce jego czuło tę potrzebę dla siebie — nie mógł znieść niepokoju, nie mógł znieść tej myśli, że on jest bezpieczny i spokojny, gdy tam panuje dookoła groza śmierci i straszne jej obrazy.

Nie dziw też, że król Humbert śpieszył w najwyższym niepokoju do tego dobrego brata, gdy d. 7 Stycznia telegraf jego żony, księżny Letycyi (z domu Bonaparte, córki księcia Napoleona i Klotyldy Sabaudzkiej) dał znać, że po influenzy, bardzo ostro występującej we Włoszech, przyszło zapalenie płuc, okazujące się śmiertelnym. Najpierw, natychmiast, wysłał tam lekarza najszlachetniejszego w Rzymie, d-ra Bacelli, a sam, po załatwieniu najpilniejszych spraw swego królewskiego urzędu, wyjechał w kilka godzin potem pociągiem nocnym, ale nieporządek panujący ogólnie na kolejach włoskich sprawił, że musiał się zatrzymać gdzieś w drodze trzy godziny, a są momenta, w których minuty liczyć trzeba, — i tu tak było.

Na dworcu kolei w Turynie czekał na króla Książę Genui i łzami tylko zdołał mu oznajmić, że zostanie już tylko konającego. Modlono się już koło niego, a przez noc całą sztuka lekarska wysilała się, nie na to już, aby życie ratować, ale tylko, aby do chwili przybycia króla je przetrzymać. Zapadający w sen śmierci otworzył jeszcze oczy, jeszcze przemówił do brata słów kilka — powiedział mu, że jedynie dla ujrzenia go, dla pożegnania się z nim poddawał się męczarni sztucznego przedłużania życia, któremu przecież wybijała już godzina ostatnia.

Poprzednio jeszcze, porankiem, gdy lekarze oznajmili, że nadziei utrzymania tego życia już zgoła niema, przybył do pałacu arcybiskup Turynu, kardynał Alimonda, przyzwany tu, jak mówią, przez prośby księżny Letycyi i przynoszący rozwiązanie z win wszystkich — rozgrzeszenie z nich *in articulo mortis* od Ojca Świętego. Towarzyszył temu i telegram papieżki, bardzo tkliwy, ojcowski — i chory, który kardynała jeszcze poznał, rozplakał się z rozrzewnienia.

Gdy przyszła godzina, którą poznał, że jest ostatnią, o 2-giej po południu pokazał żonie, gdzie jest schowany testament i list do siostry, Królowej Portugalskiej, Maryi Pii, wraz z upominkiem dla niej; potem prosił o podanie mu krucyfiku, który wisiał nad łóżkiem, i, trzymając go w rękę, prosił księdza, aby się modlił za niego. Trwało to tak jeszcze kilka godzin, do 7-ej wieczorem. Gdy skończył, wymawiając: „Jezus, Marya!...“ jak to podał *Osservatore Romano*, król klęknął, aby ucałować ręce brata, nakazując uczynić to samo synom.

Skoro wieść o śmierci rozeszła się, miasto całe zamknęło wszystkie sklepy i gmachy publiczne, co też powtórzyło się następnie w Rzymie i we wszystkich miastach półwyspu, bo kochanym był przez wszystkich Włochów ten dobry, szlachetny książę, który, nietylko bił się kiedyś za ojczyznę, ale służył jej zawsze, jak syn, gorąco kochający tę matkę swoje. Pogrzeb, który się odbył d. 22 Stycznia, był wielce wspaniały, nietylko przez pompę urzędową, ale przez wielki współdziałalność ludności, która pospieszyła tu ze wszystkich prowincji włoskich. Trumna, okryta całunem szkarłatu, umieszczoną była na lawetach ośmiu dział — tych dział, które grzmiały niegdyś w walkach z Austryakami, a w których martwy dziś i zimny szczałek człowieka brał udział, zagrzany ogniem rycerskiego zapalu. Karawan ten ciągnęło ośm czarnych koni, ubranych w korony złote. Król, królowa Małgorzata, synowie zmarłego i cała rodzina królewska, bo następca tronu został przyzwany z drogi swej do Konstantynopola, postępowali za trumną pieszo, a dalej deputacje miast, korporacje, cechy i stowarzyszenia rozmaite,

wśród czego powiewało dwanaście chorągwi. Na placu Gran Madre di Dio, orszak zatrzymał się i odbył się uroczysty obrzęd przyjęcia i pobłogosławienia zwłok przez duchowieństwo, powtórzony raz jeszcze u podwoi bazyliki, będącej już poza obrębem miasta, zwanej Superga, a gdzie są groby królewskiego Domu Sabaudzkiego. Wybudowana w ośmnastym wieku przez Amadeusza II-go, pierwszego króla Sardynii, przyjęła na odpoczynek wieczny pięciu królów tego rodu, z pomiędzy których ostatnim był bohaterki i nieśczęśliwy Karol Albert.

Amadeusz de Savoya Carignan, książę Aosty, jest z kolei czterdziestym trzecim z rodu swego, który tu znalazł miejsce na ostatni odpoczynek ziemski, obok pierwszej żony, Maryi.

Księżna Letycya, która kochała męża silną, gorącą miłością, cierpi bardzo i otacza ją współczucie nietylko rodziny, ale i narodu. Chodzi pogłoska, że ta wnuczka Wiktora Emmanuela, zawsze bardzo pobożna, a teraz boleścią ciężką poniesionej straty wskroś przejęta, zamierza wstąpić do klasztoru, czyniąc z młodego życia swego jakoby wotum dla otrzymania łaski Boga i Kościoła dla Włoch i jego królewskiego domu. Jako rodzona siostrzenica tego małżonka, po którym jest obecnie wdową, mimo gorącej dla niego miłości, nie chciała inaczej zawrzeć ślubu, poki nie otrzyma na to dyspensy kościelnej, której też Leon XIII udzielił, a zjednany przez tę panią arcybiskup Alimonda nietylko osobiście wszystkie posługi religijne konającemu księciu oddał, ale nazajutrz jeszcze do pałacu przybył, przy ciele się modlił i rodzinie królewskiej życzyliwie słowa pociechy niósł. Przy nim też zaraz liczne duchowieństwo rozpoczęło śpiewanie żałobne wigilii, które nieustannie trwało, aż do chwili pogrzebu.

Księżna najdroższe swe klejnoty, osobiście do niej należące, oddała bazylice Superga; król Humbert złożył na ręce magistratu turyńskiego 60.000 lirów do rozdania między ubogich Turynu.

Zbieg okoliczności sprawił, że właśnie podczas smutnych uroczystości ostatniej posługi oddawanej synowi Wiktora Emmanuela, przypadła 19-a rocznica wejścia wojsk włoskich do Rzymu i święcono ją tam uroczystie, mimo żałoby domu królewskiego. — *Pro patria!*... to najwyższe słowo nakazu dla Włoch i ustępują mu na bok wszelkie inne względy, nawet tak serdecznego przywiązania, jakim Włochy tchną dla rodziny królewskiej.

Do najważniejszych wewnętrznych spraw włoskich należy przez Crispiego przeprowadzona a uchwałą senatu uświęcona sekularyzacja instytucji dobroczynnych. Crispi w odezwie swej do tegoż senatu, tak się — można powiedzieć — krajo- wi swemu tłumaczy:

— „Nowe prawo nie zamierza powierzyć dobroczynnych instytucji Rzymu wyłącznie i samodzielnie władzy rządu. Działanie tu jego ograniczonem zostaje do stosowania prawa i postępowania drogą, jaką ono wskazuje. Wszystkim interesom, opartym na podstawie tego prawa, i dalej wszystkim prawom osobistym zapewnione zostały potrzebne gwarancje. Prawo to nie zostało przecież natchnionem przez cele i interesa stronnicze, ale dąży ono jedynie do usunięcia z instytucji dobroczynnych nieporządku, błędów i nadużyć popełnianych w administrowaniu i ustanawianiu pensji dobroczynnych. Pragnie ono stworzyć tu takie warunki, wobec których dochody z instytucji owych mogłyby skuteczniej, niż to działa się dotąd, nieść ulgę i zapewniać korzyść cierpiącej ludzkości.“

Jest tu dużo do powiedzenia za i przeciw; niemniej Crispi postąpił samowolnie i jak głos powszechny twierdzi, powinien był tylko obłożyć rzecz kontrolą rządową i wymagalnością jawności publicznej, nie odbierając rozdawnictwa grosza ręką, którym zwierzali je testatorowie.

(Dokończenie nastąpi.)

Wystawa starożytności.

Publiczność zwiedzająca od początku Listopada r. z., urządzoną przez Muzeum Przemysłu i Rolnictwa „Wystawę sztuki starożytnej i nowożytnej, stosowanej do przemysłu“ — musiała, szanując swój czas, wynaleźć dla niej nazwę zwycięższą i nazwała ją wprost „wystawą starożytności“. W tem tak zupełnem wyrzuceniu „sztuki nowożytnej“ nie było żadnej dowolności: istotnie, na najnowszej wystawie starożytnej, odbytej w Warszawie, rzeczy nowe były tak nieliczne i błahe, że nie miały nawet prawa do własnej swojej nazwy.

Oglądaliśmy tedy „starożytności“, to jest rzeczy stare, w szlachetniejszym znaczeniu „starożytnej“ wszelkiego rodzaju, i możemy tylko czuć wdzięczność dla zarządu muzeum, że dał oczom naszym sposobność do odbycia zajmującej wędrówki po przeszłości. Przez oko zawsze i do głowy coś weszło; wrażliwość nie ograniczała się do prostej tylko ciekawości, a nasycenie jej nie było jedynym pożytkiem, jaki przyniósł ten popis dawnych wieków, żyjących jeszcze w swych dziełach, w owocach swej pracy, pomysłowości praktycznej i poczucia piękna.

To poczucie piękna, ta potrzeba upiększania rzeczy użytecznych, była może w przemyśle dawnym, już po zupełnem wrośnięciu cywilizacji w grunt społeczeństw europejskich, silniejszą, niż jest w dzisiejszym. Rękodzieła i rzemiosła dawniejsze, pełniąc funkcję przemysłu, uczciwiej starały się o połączenie wdzięku z użytecznością. Indywidualny charakter pracy sprzyjał lepiej działaniu instynktów estetycznych: rzemieślnik kochał swój wyrób, pieścił go, cackał, stroił, aby, między ludźmi poszedłszy, to dzieło jego trudu i pilności nie potrzebowało się szat swoich wstydić. Człowiek jakoś wyraźniej i pełniej wcielał się w wyroby artystycznego przemysłu i dlatego od martwych zabytków przeszłości, jeśli je tylko wyższa miłość i zdolność z siebie wydała, załatuje dziś jakieś ciepło indywidualności ludzkiej, — coś, co, mimo zamarcia w rzeczywistości, w odbieranych wszakże wrażeniach żywym jeszcze być nie przestało. Dziś wielki przemysł wyrwał rzemiosłom i rękodzielcom większą część ich wytwórstwa. Massa i liczba przytłaczają indywidualność, przemysł jest tylko służą handlu, który woła na niego: „śpiesz się“ i z rąk mu wyrwa byle tandetę. A wreszcie, odpowiednio do wytwarzania, i spożywanie także dokonywa się wielkimi massami. Co dawniej przeznaczone było tylko dla jednostek, setek, może tysięcy, dziś znajduje dla siebie miliony spóżywców i szuka ich po wszystkich zakątkach lądów, po morzach i za morzami. W takich warunkach piękno, staranność i wdzięk musiały pójść w niewolę użyteczności, a same sposoby techniczne dzisiejszego przemysłu utrudniły w niejednej jego gałęzi wydobywanie się na jaw tego poczucia, tej pożądlivosti piękna, która, zjawiwszy się wraz z samą kulturą, nie da się już od niej oderwać.

Wystawa warszawska teraz dopiero, po trzech miesiącach, na dobre już zamknięta została. Wśród dwóch tysięcy przedmiotów na niej zebranych znalazło się wprawdzie wiele niezłych; ale wybitnych, takich, któreby dawniejsze wieki z prawowitą dumą dzisiejszemu pokazać mogły, setki nawet doliczyć się trudno. Czy ich tak mało w kraju, czy też wystawa ich do siebie ściągnąć nie zdołała, a gnuśność posiadaczy udaremniła zabiegliwość Muzeum? Przytem jedno jeszcze spostrzeżenie ciśnie się pod pióro, ciśnie się nie przebieżenie, choć nie jest wcale dla nas pochlebne, a wypowiedzenie go niejednemu umysłowi przykrość sprawi. Oto przerażająco małą jest liczba własnych naszych wyrobów, nawet pomiędzy posłednimi, najskromniejszymi, najmniej prawa do wyższego uznania mającymi. Winne jest temu niezawodnie słabe zajęcie się wystawą, niedostateczne współczucie z jej zadaniem, obojętność na

to, co ogółowi choćby tylko nasyconie niebanalnej ciekawości dać musiało,—winowajcą jest tu ostatecznie tępe, a martwe nasze sobkowstwo. Koszta wprawdzie zgromadzenia w jedno miejsce zabytków rozrzuconych na obszarze kilkunastu tysięcy mil kwadratowych musiałyby być znaczne, ale mogła się z nimi bezpiecznie rozprawić zamożność prywatna, a wreszcie i samo Muzeum, którego założyciele i kierownicy nazwiskami swemi wyobrażają paręset milionów majątku, nie potrzebowałyby bardzo stękać i jęczeć, gdyby ciężar np. połowy tych kosztów podjęto na swe barki. Może jeszcze kiedyś wezmą panowie komitetowi na umór i pomyślą o urządzeniu nowej wystawy starożytności: poleca się im na tę chwilę dobrej, pożądanej fantazyi to, co im jest najbliższe. Może się znajdzie wtedy jaki mecenas, który nie pożałuje nakładu na wydanie albumu rzeczy najlepszych zasługujących na utrwalenie takie, jakie Alexander Przeździecki dał własnymi siłami zabytkom sztuki średniowiecznej. Samo podjęcie tego rodzaju wydawnictwa byłoby już czynem pięknym, ważniejszym nawet od urządzenia wystawy.

Myśl raz w bieg wprawiona jeszcze-by się chętnie zatrzymała przy niejednym braku i niejednym pożytku, gdyby nie ciążyły na niej obowiązki zdania sprawy, nie z tego, co być-by mogło, ale z tego, co rzeczywiście było na wystawie. Było tedy wiele rzeczy znanych już z popisów poprzednich, a pasy słuckie i niesłuckie, porcelany i fajanse liczebnością swoją tak samo, jak i dawniej, imponowały. Przybyło broni i wszelkiego rynsztunku wojennego, wzbogacił się znakomicie dział archeologii, a prawie zupełnie zaniedbana poprzednio numizmatyka, wraz z heraldyką i sfragistyką, wystąpiła tak okazańie, że dla człowieka, któremu raz już książka historyczna uchyliła drzwi do przeszłości, dział ten miał ze wszystkich i najwięcej ponęty i wartości najwięcej.

Archeologią na wystawie poprzedziła skromniutka paleontologia, w postaci goleni mamuta i szkieleta żubra białowieskiego, żywego jeszcze przedstawiciela dawnego świata w nowym. W archeologii najliczniejsze i najstarsze okazały przedstawił prof. uniwersytetu warszawskiego p. Samokwasow. Mamy tu przed sobą odgrzebane z cmentarzysk cztery epoki dawnej Herodotowej Scytyi. Kimmerowie, o których wie już Homer, zostawili po sobie broń i glinę paloną. Scytowie i Sarmatowie od szóstego wieku przed Chr. dodawali do tych zabytków żelazo obrabione, wyroby ozdobne i monety greckie i rzymskie. Od piątego wieku po Chr., w epoce zwanej „auto-słowiańską“, znajdują się jeszcze i pieniądze arabskie; w czwartej wreszcie, mongolsko-tatarskiej, do przedmiotów, jakie nieboszczyk zabierał ze sobą do ziemi, przybywają jeszcze i monety z XIV do XVI w.—W układzie znać pilność i skrupulatność posiadacza i zarazem zdobywcy tych szacownych zabytków, bo p. Samokwasow sam wykopywał je z kurhanów ukraińskich, z mogiłników rozsianych pomiędzy Dnieprem i Donem i dalej jeszcze ku Kaukazowi, przez który wiele ludów aryjskich, zwłaszcza późniejszych, przedzierało się na Zachód.

P. Dowgird, gorliwy zbieracz zabytków archeologicznych Żmudzi i Litwy etnograficznej, oraz porzeczy Niemna i Dźwiny Zachodniej, nie sięga okazami swemi poza epokę żelaza, które początkowo współzawodniczyło jeszcze z krzemieniem. Professor Przyborowski okazał wyroby krzemienne znalezione w Siedleckim i Lubelskim, głównie nad rzekami. Posiadacz bardzo licznych zabytków stacyi krzemiennych Zygmunt Gloger, nie przyjął w wystawie udziału. Wybitna jest cista brązowa z pod Konina (Nr. 27 katalogu). Są wykopaliska brązowe i ze Żmudzi (Nr. 17). Dał także i p. Pułaski bronz w hełmie i w mieczu, z Zawadyńca na Wołyniu (Nr. 10 i 11). Konsul generalny angielski w Warszawie, p. Grant ze zbiorów swoich wystawił do dziesięciu naczyń „etruskich“. Jeżeli rzeczywiście są one etruskie, to i jako przedmioty naukowe i jako *res in commercio* mają wielką wartość.

W dziale numizmatyki, heraldyki i sfragistyki króluje zbiór p. Emeryka Czapskiego, ze Stańkowa w gub. Mińskiej. Czterysta dziewięć sztuk

monet i numizmatów, okazanych na wystawie, stanowią same w sobie tak szacowną całość rzeczy godnych widzenia, że podziękowania, które komitet Muzeum zbyt hojnie rozdzielał naprawo i nalewo, tutaj miały swoją muirowaną racją. Szkoda, że nie znalazło się dość ochoty, siły i czasu na ułożenie szczegółowego spisu tych drogocennych zabytków: nauka uprawiająca wszechstronną wiedzę przeszłości zachowałaby go w swych aktach. Znakomite zbiory numizmatyczne d-ra Rewolińskiego w Radomiu były pod tym względem szczęśliwsze. Jeszcze w r. 1881 podał ich opis z podobiznami przedmiotów warszawskich *Przegląd archeol.-bibliograficzny*. Na wystawie ze zbiorów dr. R. ujrzelśmy 226 medali świeckich, ogólnej treści i 200 medali przeznaczonych dla pobożności religijnej. Obok wyrobów z kości słoniowej jest jeszcze medal nawet—z szyldkretu.

(Dokończenie nasąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Bez względu na to, iż karnawał wierny swej tradycyi, ku bardziej uciesznym i skocznyemu rozrywkom pociąga sfery towarzyskie, w ciągu ostatnich trzech tygodni odbyło się parę koncertów a obecnie rozwija się znowu szereg muzycznych turniejów pod sztandarami imion takich, jak Mierzwinińskiego i Moszkowskiego. Obiecujemy sobie wkrótce miłą o nich pogawędkę z czytelnikami; na teraz jednak wedle zwyczaju naszego zabawić się musimy w odleglejsze wspomnienia może mniej powabne, lecz bardziej określone i zdecydowane od natychmiastowych porywów chwili.

Pan Maurycy Bruszewski, tenor, który wystąpił z własnym koncertem w Resursie Obywatelskiej, znany nam jest z warszawskiej sceny, gdzie już kilkakrotnie dawał się słyszeć; mierny jednak jako śpiewak sceniczny, na estradzie koncertowej zdołał wykazać wiele dodatnich zalet i przychylnie zyskać przyjęcie. Silny, zwłaszcza w wyższym rejestrze, głos jego, posiada pewną swobodę i wyrobienie, które się całkiem nadało do wykonania arii z opery „Straszny dwór“ Moniuszki, pieśni Denza, Tostiego i tercetu z opery „Lombardi“. W ostatniej tej kompozycyi partya sopranowa przypadła w udziale pani Lewickiej, basową zaś wykonał pan Niedźwiecki. Oprócz tego pani Lewicka starannie i z wielkiem uczuciem odśpiewała arię z „don Juana“ Mozarta i piękny romans Baglier'a. Pan Jakowski, skrzypek wytrawny, przyczynił się do wypełnienia programu, urozmaiconego nadto jeszcze deklamacją panny Sznage. Szkoda, że jak dyssonans, który psuje ogólną harmonją, tak i tu fatalny akompaniament wpływał na obniżenie artystycznej wartości koncertu.

Na większym wieczorze Tow. Muzycznego, licznie zebraną publiczność interessował przede wszystkim i porwał grą swoją pan Domański, fortepianista. Nie będziemy się tu rozwodzić nad zaletami jego techniki, stanowi ona bowiem tak dziś konieczny warunek wirtuozostwa, iż niemal przestaje zadziwiać. Z powodzi tonów płynących zpod bieglej ręki artysty, słuchacz pragnie uchwycić jego duchowy, indywidualny pierwiastek, który główne zajęcie obudza, dobitnie i jasno charakteryzując, zarówno wykonywane dzieła, jak i ich wykonawcę. Pan Domański zaakcentował swoje usposobienie w dziełach o formie bardziej ścisłej, określonej, jak np. Capriccio (Scarlatti-Tausig) lub Gawot własnej kompozycyi. Znać, iż przeważnie na klasycznych wzorach kształcony, muzykę taką lepiej pojmuje i umie ją oddać w skończonych konturach i odpowiedniej ekspresji cieniowania. Charakter szumanowskich utworów, gdzie myślowość w połączeniu z rozmarzeniem buja na tle

bardziej dowolnem i we fantastyczniejsze zarysy się kształtuje, charakter jednym słowem romantyczny, mniej znajduje oddźwięku w duszy wirtuozów i nabiera przeto w jego interpretacji nieco szorstkości, za wiele może spokoju, chłodu. Mimo bardzo biegłego wykonania i my też nie odczuliśmy w „Karnawale“ Schumana, tej głębokiej a poetyzującej myśli, jaka cechuje niemieckiego twórcę. Drugim bohaterem wieczoru Tow. Muz. był pan Aloiz, który ze śpiewnej swej wiononczeli tak śliczne wydobywa tony i zarazem ze swobodą pokonywuje wielkie techniczne trudności. W koncercie Servais'go jak i w paru mniejszych własnych utworach, odzwierciedlił całą swą niepopolitą artystyczną wartość. Dla dopełnienia wrażeń mieliśmy solowy śpiew poraz pierwszy słyszanej przez nas amatorki, panny Sokołowskiej. Z tego występu możemy sądzić tylko o materjali jej głosu, przyznając, że posiada ładne brzmienie i skalę dość obszerną; do wykazania innych zalet śpiewu przeszkadzała śpiewaczce młodej obawa, która zapewne kiedyś ustąpi wskutek obycia się z estradą i publicznością. Panna Sokołowska odśpiewała arię z „Wolnego strzelca“, Webera, bardzo udatną „Kolysankę“ Dworzaczka i „Penso“ Tostiego.

Wieczory Tow. Muzycz. coraz więcej zasługują na miano artystycznych,—urządzone starannie, ze współudziałem wirtuozów, których występy zdolne są prawdziwe zajęcie obudzić. Do takich należała gra fortepianowa pana Pauera, na mniejszym śródomym wieczorze. Młody artysta nie usiłuje swej wysokiej techniki podnieść szarżą błyskotliwych efektów i brawury w celu olśnienia i natychmiastowego porwania słuchaczy; natomiast wykończa i opracowuje najdrobniejsze ustępy i szczegóły z jubilerską dokładnością, bacząc o wypukłość i wycienianie każdej frazy muzycznej, o czystość każdego zarysu, który się składa zarówno na formę kompozycyi jak i na duchowy jej wyraz. Nic też się nie zatracza, nie zacierza, przeciwnie, wszystko się składa na wytworzenie całości głęboko odczutej i przeniknionej subtelną myślą wykonawcy. Kto lubi szkice szerokie, śmiało i uwydatnione ruchy i gwałtownymi kontrastami, tego nie zadowolni może rodzaj gry pana Pauera; w każdym razie, z uznaniem trzeba zaznaczyć, że wykończoność flamandzka, z jaką p. P. traktuje wirtuozostwo, nie ma nic wspólnego z małostkowością,—przeciwnie na wskroś cechuje artystym i styl szlachetny. Pan Pauer dał nam usłyszeć „Karnawał“ Schumana, Preludjum i fugę: Bach-Liszt, „Leicht und Luftig“ Mendelschona i „Les vagues“ etюд koncertowy Moszkowskiego. Część wokalną wypełniły chóry Towarzystwa i panna Szawłowska, śpiewaczka obdarzona pięknym głosem a nie gardzącą zdobycami studyów, które znać, iż poważnie traktuje. Chór odśpiewał nagrodzoną na konkursie Towarzystwa Muzycznego kompozycją pana Bogdańskiego, jeśli kompozycją nazwać się godzi, skromnie i dość banalnie ułożoną na cztery głosy melodyą: Widorta, teorbaniasty. Cała waga artystyczna spoczywa na łatwości, z jaką się ta rzecz śpiewa,—nie nad to. A przecież, znakomiti nasi kompozytorowie już wskazali drogę w tym kierunku i dali dowody jak cudnie i miernie opracowywać można melodye ludowe, jak bez zatracania ich charakteru można je w kunsztowną przyoblekać szatę i literaturze muzycznej przysparzać tym sposobem prawdziwych skarbów. Niestety, sprawdza się, że dużo powołanych a mało wybrauych, zwłaszcza w dziedzinie sztuki.

Na scenie naszej opery występuje dotychczas panna Ella Russel, i nie możemy jak tylko pragnąć by trwało to jak najdłużej. Artystka bowiem jednoczy w sobie wiele przymiotów, z których każdy zosobna już się ceni na szerokim świecie. Jest piękną i pięknie śpiewa; dzwiczny jej głos do wielu różnorodnych partyi z łatwością się nagina, w dodatku wybornie obyta ze sceną, utrzymuje się w charakterze swej roli od początku do końca. Jedną z najmilszych jej kreacyi jest postać Zerliny we „Fra Diavolo“ Aubera, gdzie w ciągłym ruchu i ożywieniu jak ptaszek swobodnie tony dobywa z piersi. W ogóle, Fra Diavolo w obecnym składzie najwybredniej-

szy gust artystyczny-by zadowolnić. Rolę tytułową objął pan Myszuga, traktując ją z upodobaniem. Na szczerze uznanie zasługuje artysta, gdy całej swej wartości nie opierając li tylko na pięknym śpiewie, grą swoją wnika w postać, którą odtwarza i stara się być równie dobrym aktorem jak śpiewakiem. Pan Myszuga miewa te szczęśliwe chwile natchnienia, jak dał tego dowód we „Fra Diavolu“. Partye bandytów śpiewali i przedstawiali, w całym znaczeniu tego ostatniego słowa, doskonale pp. Chodakowski i Seideman. Pan Kwieciński, w głos niezbyt zasobny, oddał jednak dość zręcznie swą małą rolę. Podróźni tylko (panna Szczepkowska i p. Kozieradzki) mogli byli nieco więcej komizmu wlać w te postacie, które, same przez się tak wybitnie charakterystyczne i dowcipne, były nieco za chłodno i *serio* oddane. Na przedstawieniu „Fra Diavola“ poraz pierwszy po powrocie z kuracji, zadyrgował operą pan Rzebiczek, a publika nieomieszkała powitać go burzą gorących oklasków.

Po tak ogólnie miłym wrażeniu, jakie wywołał Fra Diavolo, trudno zaiste określić ujemne sensacje, jakie sprawiła „Gioconda“ z panią Mattini w roli głównej bohaterki opery. Gdyby nie obowiązek sprawozdawcy, obowiązek smutny częstokroć, wolelibyśmy przemilczeć ten niefortunny występ w którym debiutantka nie wykazała ani głosu dobrego, ani dykcji chociażby poprawnej. P.P. Myszuga, Chodakowski i Seideman podtrzymywali przedstawienie swym śpiewem i szlachetnym charakterem akcji.

W ostatnim dniu Stycznia sympatyczne stowarzyszenie „Lutni“ wystąpiło z koncertem przy współudziale pani Lewickiej i pana Domaniewskiego. Pierwszy numer programu stanowił hymn z X-go stulecia. Jest to niezmiernie ciekawy zabytek, odnaleziony spośród wiekowego pyłu dzięki p. A. Polińskiemu, który z zamiłowaniem wyszukuje i bada stare muzyczne archiwa. Na podstawie porównań i zestawień pan Poliński starał się najpierwotniejszy i najbardziej wiarogodny temat wysnuć spośród przeróbek i odmian, jakim hymn kolejno podlegał, i zręcznie na dobrze rozbrzmiewające głosy ułożyć.

W dalszym dość długim Lutni programie, którego wyszczególniać nie będziemy, jedno z najsympatyczniejszych wrażeń obudziła: „Pieśń Zimowa“ Antoniego Rutkowskiego, kompozytorka owiana tchnieniem prawdziwego talentu i technicznie bardzo ładnie odrobiona. W „Ptaszynie“ Söderberga, słicznie wyszedł śpiew pana Miłozza Kotarbińskiego. Śpiew to nie uczony, lecz braki wyrobienia, nagradza intuicja i naturalna łatwość emisyj; przytem dźwięk głosu czysty tenorowy, miękki, słodki niemal i serdeczność uczucia porywająca. Uczuciem również odznacza się śpiew pani Lewickiej, może nawet nieco za sentymentalnym, wszelako nie zbyt cennym w rodzajach kompozycji, jakie wykonywała: „Jeruzalem“ Mendelsohna, „Romans“ Noskowskiego i Arya (On nadejść ma) z „Żydówki Halewego.“ Słusznie rozentuzymowana publiczność skłoniła śpiewaczkę do nadprogramowego numeru „Właz kotek na płotek“ Zawadzkiego. O panu Domaniewskim, który interpretował Szopena, Liszta oraz własną Melodyą, jużśmy powyżej wypowiedzieli swe zdanie; dla własnego zatem interesu nie żądają zapewne szanowni czytelnicy, ażebyśmy się powtarzali.

Juliusz Statiler.

ECHA LITERACKIE.

12. Marcin Teofil Polak, malarz polski z XVII w., znalazł skrzętnego badacza w p. Mathiasie Bersohnie, który odbył po Tyrolu umyślną podróż dla poznania obrazów i zebrania wiadomości biograficznych o artyście: pierwsze łatwiejszym było od drugiego. Zostały liczne dość ślady pędzla szkoły włoskiej, wyniesionego nad mier-

notę, ale śladów po samym człowieku jest niewiele. Najpowszechniej uważają Teofila za Włocha; nazwisko Turri lub Torre i narodowość włoską daje mu Ilg, uczony pięknoznawca wiedeński. Rastawiecki w *Słowniku malarzów polskich* mieści i Teofila, ale krótką tylko zbywa go wzmianką. Wiadomości zebrane przez p. Bersohna pczwalają mu owego Turri'ego uważać za Polaka. Był on już w Krakowie skończonym artystą, kiedy podczas wojny elekcyjnej po Batorym (nie po Walezyszu, jak przez *lapsus memoriae* pisze autor) arcyksiążę Maxymilian miał go sposobność poznać, ocenić i wziąć ze sobą do Tyrolu. Wraz z malarzem po uwolnieniu z więzienia krasnystawskiego, zabrał arcyksiążę z powrotem do Niemiec także i Grzegorza Sabowskiego, który mu był później ulubionym kamerdynerem. W jakie dziesięć lat po zamieszkaniu w Inspruku w r. 1599 został Teofil malarzem nadwornym arcyksięcia. Dochował się w Ferdinandeum miejscowym portret własny Teofila o rysach zupełnie słowiańskich; ofiarodawca, niejaki Itten, obywał insprucki, nazywa artystę: „Martinus Theophilus Polak.“ Tosamo muzeum posiada i inny dowód polskości malarza: świadectwo Augsburgczyka Haimhofera, który w r. 1628 odbył podróż do Inspruku, poznał się z Teofilem, gościnnie w jego domu zażył, a w swojej *Relatio* mówi wyraźnie *ain* (sic) *gebórner Polac*.“ Szkoda, że do zupełnie podparcia tezy nie udało się autorowi wykryć nazwiska i gniazda rodzinnego artysty. Domniemywanie się Szlązka dla samego p. Bersohna nie ma wagi. Umarł Teofil w r. 1639 w Brixen, gdzie ostatnie lata życia spędził. Ślady artystyczne pozostawił w Inspruku, Riva, Brixen, Trydencie. Na jednym z obrazów *Adoracyi N. M. Panny*, w Ferdinandeum inspruckim, jest król, którego nawet Dr Ilg za polskiego uznaje, a w *Holdzie Trzech Króli* w katedrze bryxeńskiej, ma być, także według samych Niemców, król w kostyumie polskim.

Ścisłe biorąc, to jeszcze — *sub iudice lis est*; stanowczo przekonywającym byłby dopiero rodowód krakowski, jeśli nie samego człowieka, to przynajmniej artysty. W każdym razie jednak zamiłowania przedmiotu dowiódł autor i w poszukiwaniach swoich i w podzieleniu się ich wynikami z tym nielicznym zastępem ludzi, którzy u nas zajmują się przeszłością sztuki rodzimej. Wspaniale wydana rozprawa obejmuje cztery starannie wykonane podobizny własnego portretu i trzech obrazów Marcina Teofila. Wydanie drukowe krakowskie, Kluczyckiego; karta tytuł., str. 3—12, 1 knb., 4 tablice; folio szerokie (4-to królewskie), 1889.

13. „Z życia Księżny Kurońskiej.“ Tytuł nowego zyciorysu Franciszki Krasieńskiej, córki starosty nowomiejskiego, Królewiczowej Saskiej, późniejszej Księżny Carignan. Zaczęła go drukować, z prawdziwym pożytkiem czytelników prowadzona przez p. Antoniego Donimirskiego, *Niwa* w pierwszym numerze tegorocznym. Autorem tego „szkicu historycznego“ jest p. Kazimierz Pułaski, umiejący dobrze korystać ze świadectw rękopiśmiennych oraz dowodów i opracowań już drukowanych, a dotyczących bądź wielkiej, bądź pomniejszej historii ojczystej. Wydane w osobnej książce, opracowania p. Pułaskiego nie są obce czytelnikowi światlejszemu, nieuciekającemu odrzeczy swoich, a przytem ciekawemu przeszłości. Na nową pracę zwracamy tem chętniej uwagę im bardziej zalecać ją winien sam przedmiot. O kobiecie, i jeszcze takiej, nie wiedzieć nie wolno kobietom niezamykającym życia w rozmaitych postaciach tańcowania, a przytem nieprzyciśniętym tak troskami i ciężarami, aby je zwolnić już było można z obowiązku czytania prac większego rozmiaru, nienależących do rodzaju uprzywilejowanego: *powieść*.

Do nowego wypracowania swego p. Pułaski pozyskał dwadzieścia listów nieznanych przedtem nikomu. Pisała je Franciszka Krasieńska do swojego blizkiego krewnego biskupa kamienieckiego, Adama Krasieńskiego. W dwóch wyszłych już numerach *Niwy* opowiadanie dobiega do r. 1769, do chwili właśnie, kiedy się zawiązała korespondencja. Autor w tej już części swej pracy miał możność sprostować datę ślubu Franciszki

z królewiczem saskim. Jak wiadomo, narzeczeni wzięli ślub potajemnie w Siedlcach, z powodu *mezaliansu*, a ten mezalians, przy lichym charakterze syna Augusta III, stał się dla znacznej kobiety źródłem wielu utrapień i cierpień, za które przecież los wynagrodzić ją miał wyniesieniem na godność matki rodu dzisiejszej dynastii sabaudzkiej, panującej Włochom. Autor rzuca postać bohaterki swojej na wyraźnie a poważnie, ze znajomością rzeczy malowane tło współczesnego życia historycznego i przypomina wypadki, których odświeżenie w pamięci czytelnika samo przez się już pożytecznym być musi. Teraz właśnie ma się nam ukazać Franciszka Krasieńska na wyższym stopniu uczuciowości i praktycznej skrzętności, odpowiadającej powołaniu kobiety poza domem i dworem.

14. P. Alexander Jelski pod skromnym tytułem: *Wzmianka o bibliotece ś. p. Juliana Biergela* zamieszcza w *Bibl. W.* za miesiąc Styczeń opis swej podróży z Mińska do Słucka, podający bezpretensjonalne a wierne obrazy kraju i ludzi. Podróż ta, w r. 1882 odbyta, obfituje we wspomnienia historyczne, jakie wywoływać musiały same przebywane miejscowości. W starej siedzibie Uniechowskich w Ciepleni chwali autor dzisiejszego dziedzica za staranność w prowadzeniu umiejętnego ogrodnictwa. Dziwny tu kopiec usypał lud z suchych gałęzi, które każdy przejeżdżający chłopek uważa sobie za obowiązek dorzucić do nawalonej już kupy. Niegdyś, przed wiekami jeszcze, na tem miejscu powiesił się jakiś nieszczęśliwy i od kilku wieków lud rzuca gałęzie, aby ziemia nie mogła z siebie wydać żywego drzewa—pokusy dla nowego samobójcy. W Mikołce, niegdyś Radziwiłłów, dziś Hartingów, uderza widok dębu świętego, wspaniałego olbrzyma o 11 metrach obwodu. Oczywiście, w ziemi leży zakopany skarb — bo jakżeby się bez skarbu obyło!—ale nikt do niego dobrać się nie śmie, przez uszanowanie dla drzewa, które dwa razy do roku—w Maju i w Grudniu—odbiera od ludu, ściągającego nawet z dalszych okolic, cześć symboliczną. W Starzycy nowy kurhan legendowy, cały nasadzony krzyżami, a na nich pozawieszane małe krzyżyki i vota. Nic nie może odwieść ludu od wiary w święte miejsce. Nieopodal nowa świętość: sosna oryginalnie wyrosła, niegdyś miejsce zjawienia się cudu. U podstawy drzewa — pełno krzyżyków, kwiatów i kosmyków lnu: to dary dla bóstwa. Rodzinie Rowieńskich, właścicieli Starzycy, przyznaje podróżnik „wyjątkową zacność i szcudrobliwosć dla nieszczęśliwych.“ Kończy się Powiat Ihumeński; na Hrozowie, niegdyś Seweryna Mierzejewskiego, rozpoczyna się Słucki. Grunta urodzajniejsze, ale krajobraz płaski. Z Hrozowem sąsiaduje słynny Kopyl. Pod samem Słuckiem leży skarbowe Siółko, przez długie lata w dzierzawie u zaśluzonej wychowawczyni kobiet, p. Heleny Kowalnickiej, która do r. 1865 utrzymywała tutaj szkołę, używając wielkiego rozgłosu. Słuck sam po 30-letnim niewidzeniu nie uderzył zmianami zewnętrznymi: mury i ulice i place tesame i nie inne też niechlujstwo. Na 18.000 mieszkańców liczy Słuck aż 12.000 wyznawców Starego Zakonu. Miasto ma daleką, zamierzchłą przeszłość, tonącą w mgle prastarego bytu Dregowiczów. W końcu XVI w. za sprawą Witolda powstaje na obszarze sięgającym z jednej strony od Niemna, z drugiej od Prypeci Księstwo Słucko-Kleckie, a w początku XV w. zjawia się w nim książęca dynastia Olelkowiczów. P. Jelski przypomina jej prawość i zasługi, wylicza daty pięciu napadów tatarskich; z nich dwa ostatnie, w r. 1505 i 1508, odparła bohatersko księżna Anastazya. Mężny duch tej niewiasty zламаł i pychę Głińskiego, który się do murów słuckich dobiegał. Piękna cerkiew na Trojczanach mieści groby tego zasłużonego rodu, wygasłego w końcu XVI w. W tej cerkwi ma nagrobek z napisem w trzech językach: ruskim, polskim i łacińskim, znany z historyi Gen. Kreczetnikow. Ostatnia Olelkowiczówna, Zofia, była już przedmiotem niejednego poematu i powieści. Opowiadanie jej przygód ukazuje chciwość i niesumienność Chodkiewiczów, a pychę Radziwiłłów, z których Janusz (poprzednik szwedzkiego) został jej mężem. W sto lat

później jeszcze wydzielali sobie ogromne obszary Księstwa Słucko-Kopylskiego, zwane „dobrami nowoborskiemi“ Sapiehowie i Radziwiłłowie. Dziś miasto samo jest własnością skarbu; dobra po śmierci Wittgensteina nie mają uregulowanego tytułu własności.

Z bieżącej chwili.

— **W Petersburskiej akademii nauk** wakuje dwadzieścia pięć nagród: imienia Buniakowskiego za dzieło matematyczne; Behra za pracę naukową w zakresie ciał organicznych; Brandta za dzieło z zakresu nauk przyrodniczych; Rklickiego za dzieło anatomiczne; Neustrojewa za opis pierwotnych wydawnictw rosyjskich; Iwanowa za dzieło treści moralnej; Helmersena za prace z dziedziny geologii; Muchanowowej za biografią Cesarzowej Marii Teodorówny; Junoszewej za dzieło matematyczne; komitetu Łomonosowa za najlepszą biografią; szlachty tambowskiej, za najlepszy opis panowania Cesarza Alexandra II; Kostomarowa na wydanie słownika małoruskiego; Żukowskiego za wydanie jego dzieł; Greiga za najlepsze dzieło ekonomiczne; Kirejewa za najlepszy utwór dramatyczny. Nadto wakują premia: Szuberta, hr. Arakcejewy, Puszkina, Przewalskiego, hr. Tolstoja, ks. Juzupowa, metropolity Makarego, Sibirakowa, Kotlarewskiego i biskupa Porfrego.

— **W teatrze Alexandrowskim w Petersburgu** dawać będzie przedstawienia przez miesiąc Marzec trupa meiningeńska.

— **W Moskwie** otwarta będzie wystawa mająca na celu zapoznanie publiczności z naturalnymi bogactwami, oraz z życiem, przywozem i wywozem Azji Środkowej. Dzienniki donoszą, że wydanem będzie w r. b. blisko milion rs. na premia za wywóz cukru na rynki azyatyckie.

— **Warszawskie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu** zamierza utworzyć stałą wystawę prób i wzorów. Na radzie odbytej nad tym przedmiotem przewodniczył hr. Ludwik Krasieński.

— **Szkoła ogrodnicza** ma być założona w Warszawie z kursem czteroletnim, praktycznym i teoretycznym.

— **Uczony przyrodnik**, kustosz warszaw. Gabinetu Zoologicznego, Wład. Taczanowski, umarł d. 22 Stycznia. Pierwsze nauki pobierał w gimnazjum lubelskim, które ukończył w 1838 roku; następnie oddał się studjom przyrodniczym i pracował w tym zakresie wiedzy lat czternaście. W r. 1852 wszedł do służby rządowej i aplikował dwa lata w Rządzie Gubernialnym w Radomiu, gdzie następnie został konserwatorem zbioru ornitologicznego przy sekcji leśniczej tegoż biura. Jednocześnie powierzonym mu został zarząd nad takimiż zbiorami w Lublinie. W r. 1855 został kustoszem gabinetu zoologicznego Szkoły Głównej i urząd ten sprawował przy uniwersytecie warszawskim, aż do dnia śmierci, która wywołała wielki żal nie tylko w sercach blizkich mu, bo żgon ten jest ciężką stratą dla nauki. W badaniu fauny naszej prace zmarłego mają znaczenie wielkie; zbogacił on zarazem zbiory naszego ga-

binetu zoologicznego licznymi okazami, tak krajowymi, jak zagranicznymi, które były owocem kilkokrotnych jego podróży naukowych do Hiszpanii, Portugalii, Afryki Zachodniej i Północnej, oraz po innych krajach. Zaslugi jego w zakresie przyrodniczej literatury naszej są poważne, pisał też po francuzku i niemiecku o faunie Europy skiej, Syberyi, Mandzuryi, Turkiestanu. Znano go, czczono w całym świecie naukowym i był członkiem honorowym: „Towarzystwa Ornitologicznego“ w Berlinie i w Nowym-Yorku, „Towarzystwa Zoologicznego“ w Paryżu, w Wiedniu, w Londynie; członkiem rzeczywistym „Tow. badaczy przyrody“ przy Uniwer. Charkowskim. Uniwersytet Krakowski przyznał mu w 1877 r. dyplom doktora nauk przyrodniczych. Za dzieło: „Ornitologie du Pérou“ przyznała mu Petersburska Akademia Nauk nagrodę Brandta.

Umarł w sędziwym już wieku lat siedmziesięciu; zwłoki jego spoczęły na cmentarzu powązkowskim, gdzie studenci Uniwersytetu Warszawskiego zanieśli je na ramionach swoich, a na trumnie złożyli dwa wieńce świeżych kwiatów. Było tam obok nich i wiele innych, a między innymi od redakcyi „Wszehświata“, od Muzeum Dzieduszyckiego, od Towarzystwa Przyrodniczego imienia Kopernika.

— **Pomnik Gambety** wykonany będzie przez rzeźbiarza Bartholdy, twórcę posągu Wolność ofiarowanego przez Francją Stanom Zjednoczonym. Projekt, przedstawiony przez jego przyszłego wykonawcę, ma być wspaniały. Na podstawie z czerwonego piaskowca z Wogezów dwie siedzące postacie niewieście z białego marmuru, a które mają przedstawiać Alzację i Lotaryngię, płaczą u stóp ołtarza, na którym widnieje napis: *Pro Patria*; po bokach ołtarza dwie tarcze z wyrytymi dewizami dwóch, wyżej wymienionych prowincyi: „In clade decus“, i „In luctu spes“. Przed ołtarzem postać Gambetty z marmuru trzyma złamany proporzec sztandaru Francyi, którego część sływa osłaniającą go draperyą. U stóp spoczywa orzeł.

— **Muzeum sztuk pięknych w Krakowie** otrzymało w darze od Matejki obraz szkoły Kranacha starszego, przedstawiający Lukrecję, wbijającą sobie w pierś sztylet. Przyznanie Matejce przez Akademię Krakowską Umiejętności stypendyów z zapisu Probusa Barczewskiego; 1.500 zł. reń. za kartony wykonane do presbyterium restaurującego się kościoła Panny Maryi sprawiło na publiczności niemiłe wrażenie z powodu, że położenie Matejki nie potrzebuje takich pomocy grosza publicznego. Zarząd *Muzeum* nabył na własność obraz Wł. Łuszczkiewicza „Śmierć Samuela Zborowskiego“.

— **Plany na budowę teatru w Krakowie** przekraczają wszystkie wyznaczoną na ten cel sumę 400.000 złr. i podkommissya, wyznaczona do rozpatrywania nadesłanych planów, przyszła do przekonania, że cena wyznaczona jest niedostateczną dla wzniesienia gmachu, któryby odpowiadał warunkom należytego bezpieczeństwa i był dostatecznie wygodnym dla publiczności, a strukturą swoją nie szpecił, ale ozdabiał miasto. Zdanie to potwierdziła i kommissya budowy teatru, poczem rada miejska zawyrokowała, aby wszystkie cztery plany przyjęte zostały przez swych tworców poprawione odpowiednio, a wtedy wszystkim przyznane zostanie wynagrodzenie w kwocie 1.500 złr. Sędziowie zaś ponownie je rozpatrzą i wydadzą opinią: który z tych planów jest najodpowiedniejszym i zarazem najmniej przekracza oznaczoną sumę 400.000 złr. Ostatecznie uznano plany Ekielskiego i Stryjeńskiego za najlepsze.

— **Międzynarodowa wystawa przemysłowo-rolnicza** w Wiedniu, urządzona przez Wiedeńskie Towarzystwo Rolnicze, otwarta w d. 15 Maja, trwać będzie do 15 października. Komitet poczynił starania, aby wystawcy zagraniczni zostali zwolnieni od cła, a opłaty kolejowe były dla przewożonych okazów niższe. Ponieważ groźna konkurencya krajów poza oceanem i ogólne obniżenie się cen produktów rolnych popchnęło rolnictwo na nowe drogi i zmusiło do wyszukiwania nowych źródeł dochodu, a zarazem do stosowania nowych ulepszeń, powszechna wystawa rolnicza jest potrzebną. W Wiedniu odbyła się ostatnia wystawa taka już 24 lat temu, lecz przez ten czas tak w gospodarstwie rolnem jak i w leśnictwie i przemyśle, zostającym tu w związku zaszło zmian wiele, tem wystawa tegoroczna ma racją bytu przez potrzebę rozświecenia wiedzy ogólnej w zakresie postępu, jaki tu ma miejsce i skutków, które przynosi w realnych dla gospodarstwa korzyściach. Wystawa mieści również dział drobnego przemysłdomowego i wiele działów, mogących przypadać na prace kobiety, jak: hodowla drobiu, trzodochlewnej, pszczolnictwo, jedwabnictwo, narzędziogrodnicza.

— **Tear niemiecki w Poznaniu** utrzymać się nie może i dyrektor zawiadomił Radę miejską, że mimo pobieranej subwencyi 30.000 marek rocznie, prowadzić go dalej nie może.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim** po porozumieniu się z panem Józefem Chełmońskim, artystą malarzem, postanowił urządzić w m. Kwietniu r. b., w głównej sali lokalu Towarzystwa, oddzielną Wystawę prac tego artysty. W tym celu Komitet ma zaszczyt odnieść się niniejszem z uprzejmą prośbą do wszystkich posiadaczy obrazów p. *Józefa Chełmońskiego*, aby raczyli przyczynić się do uświetnienia i wzbogacenia zamierzonej Wystawy i przysłać rzeczony obraz przed dniem 1-ym Kwietnia r. b. bezpośrednio pod adresem Komitetu Towarzystwa (Warszawa, ul. Krakowskie-Przedmieście 15) na koszt Towarzystwa (jeżeli kolejną żelazną z prowincyi lub z zagranicy, to par petite vitesse) z załączeniem dokładnych adresów swoich. Obrazy te przez cały czas pozostawania w lokalu Towarzystwa zaasekurowane zostaną w Warszawskim Towarzystwie Ubezpieczeń od ognia w wysokości, jaką każdy z posiadaczy na swój obraz oznaczy, i po upływie terminu Wystawy, która trwać będzie od 4-eh do 6-ciu tygodni, zwrócone zostaną również kosztem Towarzystwa. Pokwitowania z chwilą otrzymania obrazów wydawane lub wysyłane będą natychmiast.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 8-y powieści pod tytułem: **Odtrącony**, przez Reneusza Bazin.

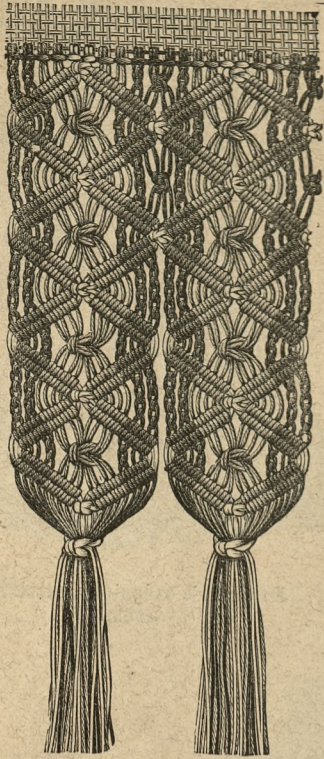
TREŚĆ: O świecie, (wiersz) (Przekład z Emanuela Geibel).—**Rozkosze życia** (wykształcenie).—**Drugie pokolenie**. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza.—**List z Włoch**.—**Wystawa starożytności**.—**Ruch muzyczny**, przez Juliusza Stattlera. — **Z bieżącej chwili**.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-y powieści, pod tytułem: **Odtrącony** przez Reneusza Bazin. Przekład z francuzkiego. — **Przegląd mód**. — 28 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycya stołu**.

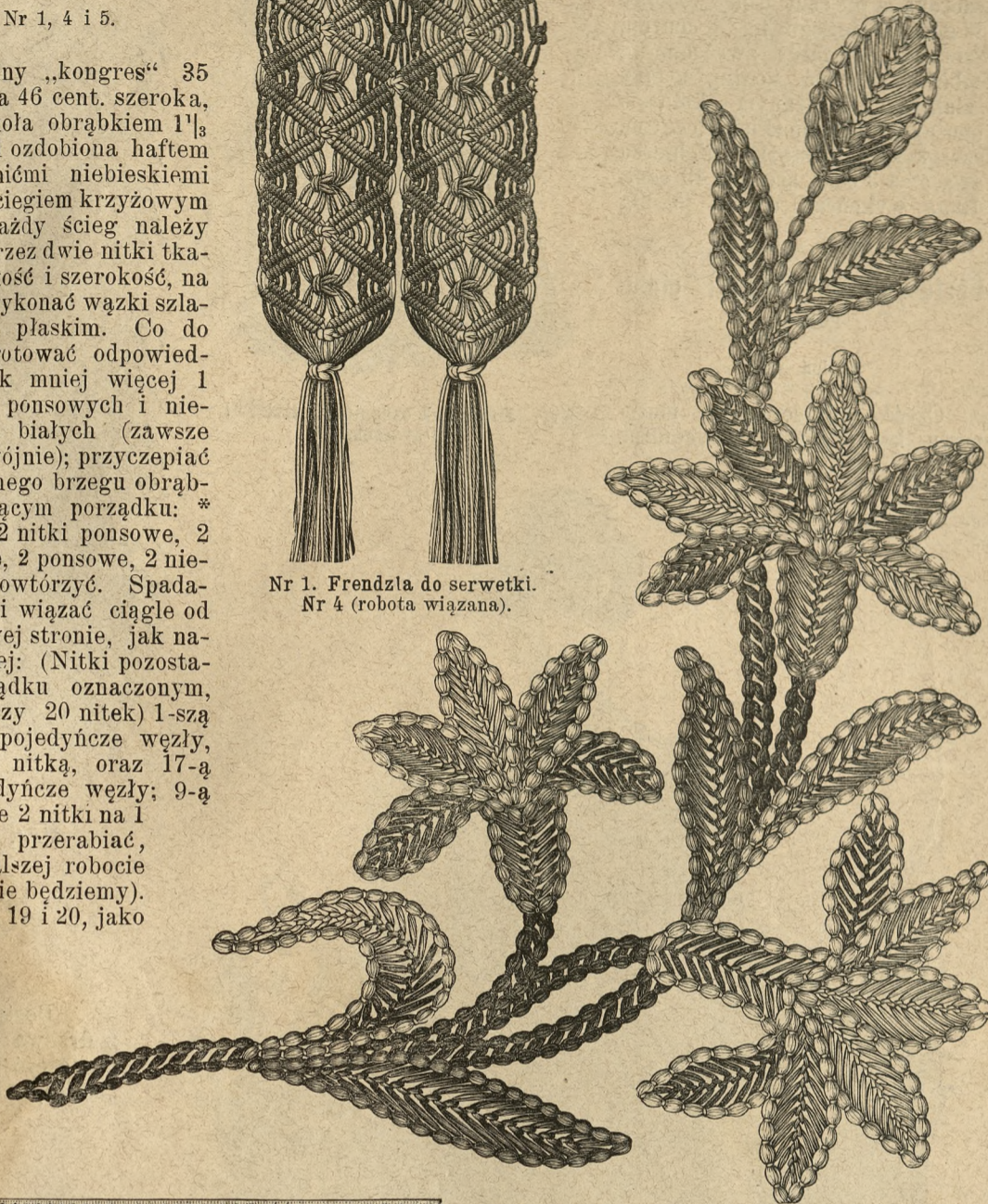
Serwetka. Robota krzyżowa i wiązana frendzla.

Rycina Nr 1, 4 i 5.

Część tkaniny „kongres“ 35 cent. wysoka a 46 cent. szeroka, otoczona do koła obrąbkem 1 $\frac{1}{3}$ cent. szeroka i ozdobiona haftem wykonanym nićmi niebieskimi i ponsowymi ściegiem krzyżowym i płaskim. Każdy ścieg należy przejmować przez dwie nitki tkaniny na wysokość i szerokość, na obrąbku zaś wykonać wążki szlaczek ściegiem płaskim. Co do frendzli przygotować odpowiednią ilość nitek mniej więcej 1 metr długości ponsowych i niebieskich, oraz białych (zawsze wziętych podwójnie); przyczepiać takowe do dolnego brzegu obrąbka w następującym porządku: * 2 nitki białe, 2 nitki ponsowe, 2 podwójne białe, 2 ponsowe, 2 niebieskie, od * powtórzyć. Spadającymi końcami wiązać ciągle od lewej ku prawej stronie, jak następuje: 1 kolej: (Nitki pozostawiać w porządku oznaczonym, każdy zab liczy 20 nitek) 1-szą i 2-gą nitką 3 pojedyncze węzły, * 3-cią i 4-tą nitką, oraz 17-ą i 18-ą 2 pojedyncze węzły; 9-ą do 12-ej (ciągle 2 nitki na 1 węzeł razem przerabiać, czego już w dalszej robocie przypominać nie będziemy). 1 podw. węzeł, 19 i 20, jako też 1 i 2 następnego zęba 1 $\frac{1}{2}$ węzła podwójnego; od * powtórzyć, przy ostatnim powtórzeniu 19 i 20



Nr 1. Frendzla do serwetki. Nr 4 (robota wiązana).

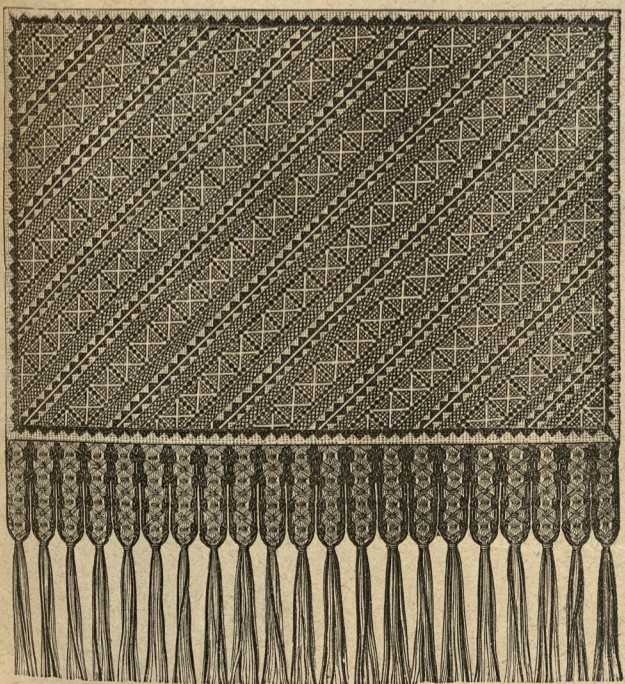


Nr 3. Gałązka haftowana do serwetki Nr 2 (wielkość naturalna).

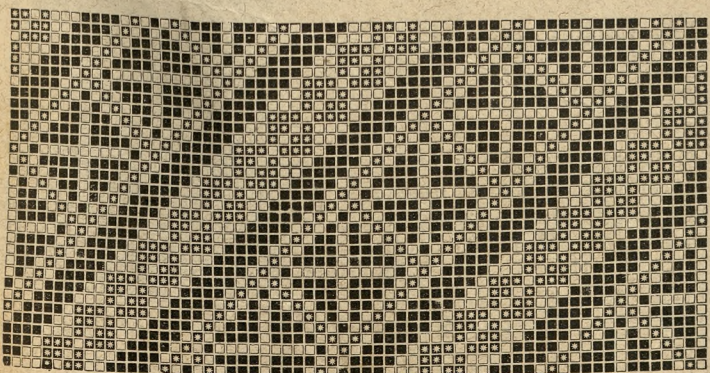


Nr 2. Serwetka ozdobiona haftem.

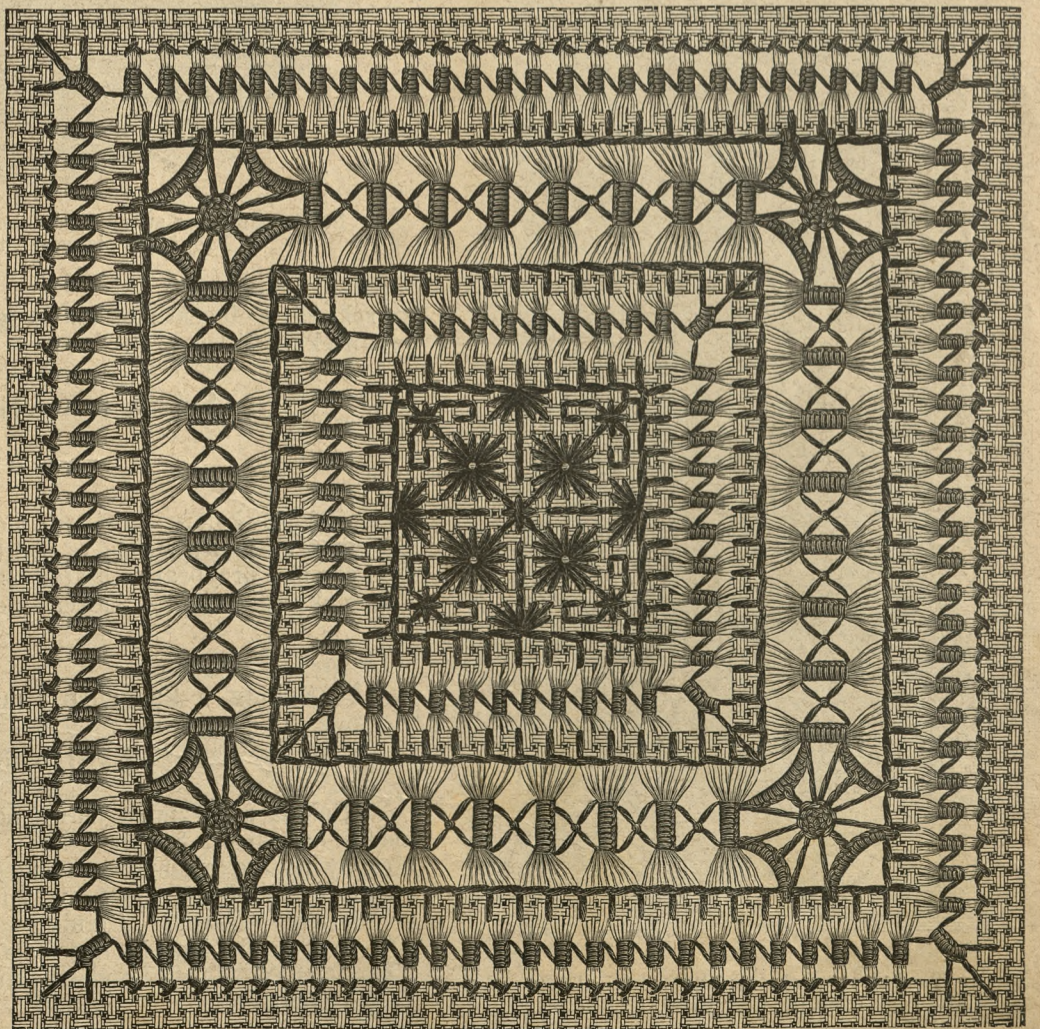
nitką 3 pojedyncze węzły. — 2 kolej: 9-tą nitką w kierunku ukośnym przez 8 do 1, które związać, 2 ściegi dzierganymi poniżej 10 nit. przez 9 do 2, 2 dziergane ściegi w pierwszą, 11 do 20, jak poprzednie węzły, tylko w odwrotnym kierunku, od * powtórzyć. — 3 kolej: * 5 i 6, jako też 15 i 16 każdą 2 pojedyncze węzły, 7 do 14, 1 podw. węzeł (na co należy pierwsze i ostatnie 2 nitki razem związać, środkowe zaś 4 użyć jako watek), 19 i 20, jako też 1 i 2 następnego zęba, 1 podw. węzeł, od * powtórzyć. Na zakończenie nie wykonać ostatniego węzła. — 4 kolej: * 2 nit. w ukośnym kierunku przez 3 do 10 i temiz 2 dziergane ściegi w pierwszą, 1 przez 2 do 9 jeden po drugim, 2 dziergane ściegi w pierwszy, poczem 11 do 20 takież same węzły w odwrotnym kierunku, od * powtórzyć. — 5 kolej: 1 i 2, 4 pojed. węzły, * 3 i 4, oraz 17 i 18, każdą 3 pojedyncze węzły; 9 do 12, 1 podwój. węzeł, 19 i 20, jako też 1 i 2 następnej figury odpowiedni przedział 1 $\frac{1}{2}$ podw. węzła, od * powtórzyć, ale przy ostatnim powtórzeniu 9 i 20, 4 pojedyncze węzły. Powtórzyć jeszcze 2 razy 2 do 5 i jeszcze raz 2 do 4 kolei węzeł ostat. i pierwszych 2 nitek ostatniej figury pozostawić niewykonanym, oprócz w 3



Nr 4. Serwetka (robota krzyżowa i wiązana do ryc. Nr 5 i 1).



Nr 5. Deseń na serwetkę Nr 4. ■ Ponsowy, □ niebieski, □ tło.



Nr 6. Kwadrat na serwetkę. (Ścieg azurowy).

kolei przy pierwszym powtórzeniu, i zamiast tego w 5 kolei pierwszemi i ostatniemi 2 nitkami wykonać 4 pojedyncze węzły. Następnie 9 do 12 1 podwójny węzeł, i pozostające nitki każdej figury zebrać razem, przewiązać 9 i 12, inne pozostawiając jako watek 1 podwójnym węzłem. Obciąć równo nitki.

Serwetka ozdobiona haftem.

Rycina Nr 2 i 3.

Serwetka wykonana na suknie koloru piaskowego 24 cent. w kwadrat, w rzucane gąszenie, których desen naturalnej wielkości przedstawia rycina Nr 3. Przenieść takowy na sukno i wzdłuż konturów dziurkować w odstępach $\frac{1}{8}$ cent. Następnie wykonać kwiatki i pączki niebieskie i terracota, listki zaś i gałązki oliwkową rozpołowioną filozelą w kilku cieniach ścięciem rybiej łuszczyki, otoczyć nitką jedwabną szneli w odpowiednim kolorze i umocować takową ścięciem obrzucanym cienkim jedwabiem tegoż koloru. Zaopatrzyć serwetkę lekką podszewką i przyozdobić frendzlą.

Kwadrat do serwetki. Robota mereszkowa.

Rycina Nr 6.

Kwadrat przedstawiony w $\frac{2}{3}$ częściach oryginalnej wielkości, wykonany na tkaninie Aida ponsową bawelną. Najprzód zaopatrzyć kwadrat obrąbkami 1 cent szer., który tylko zafastrygować należy. Powyżej tegoż wyciągnąć z uwzględnieniem rogów 4 nitki tkaniny, 2 nitki opuścić, wyciągnąć 8, 2 opuścić i jeszcze raz wyciągnąć 4, następnie brąbek umocować ścięciem mereszkowym ponsową bawelną, przy czem ciągle 2 nitki przerabiać. Następnie wykonywać podług deseni.

Fartuszek w pasy haftowane.

Rycina Nr 7.

Fartuszek z białego welnianego przezroczystego materiału, którego część przednią 16 cent. szeroką a 63 cent. długą, złożyć w górnym brzegu na 3 centim. szerokości w fałdy zwrócone ku sobie i otoczyć podług ryciny szlakiem haftowanym kolorem ponsowym i niebieskim 7 centim. szerokości. Wstążka niebieska atlasowa 3 cent. szer. a 49 cent. długa wykończa całość podług ryciny.



Nr 7. Fartuszek ozdobiony szlakami haftowanymi.

Fartuszek z koronki gipiurowej.

Rycina Nr 8.

Część odprasowanego materiału koronkowego 50 centim.



Nr 12. Suknia z sukna i jedwabnego materiału (do ryc. Nr 17) Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—11.

szerokości, a 5 centimetrów długości, przedzielana wszywkami przewlekanymi wstążką.

Suknia z koronki i aksamitu.

Rycina Nr 9.

Suknia koloru „crème“ pokryta tegoż koloru koronką. Stanik z aksamitu wycięty podług ryciny z napiersnikiem koronkowym, przybrany haftem złotym. Rękawy z aksamitu i koronki odpowiednio haftem złotym ozdobione.

Suknia z kaszmiru i materiału jedwabnego.

Rycina Nr 13.

Suknia z kaszmiru jedwabnego koloru zielonego i z tegoż koloru kaszmiru. Stanik gładki. Napiersnik w rodzaju bluzy, ułożony podług ryciny w drobne zakładeczki z materiału jedwabnego, i z tegoż samego materiału pasek „médicus“ w drobne ułożony zakładki. Stanik w rodzaju krótkiego kaftanika z kaszmiru ozdobiony haftem maszynowym. Rękawy w połowie z kaszmiru, w połowie z materiału jedwabnego. Kołnierzyk stojący haftowany.



Nr 9. Suknia wieczorowa z mału koronkowego i aksamitu.

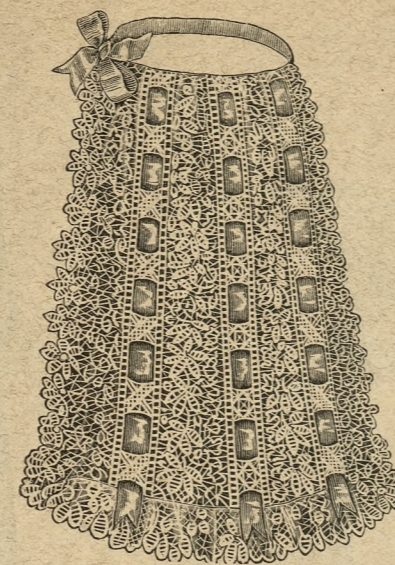
Postument do roboty ozdobiony aplikacją.

Rycina 5.

Postument podłużny z ła przegrodami na roboty, z drzewa częścią politurowaną częścią złoconego. Wierzchnia część pokryta wewnątrz tym jedwabnym materiałem „surah“, dolna zaś część zżu tegoż koloru, ozdobiona



Nr 14. Przybranie stanika (do ryc. Nr 21 w Bl. Nr 5). Desen odwr. str. 66.



Nr 8. Fartuszek z koronki gipiurowej.

haftem podług ryciny Nr 10 i 11 w Bl. Nr 2 t. r. włóczka zefir i filozelą ścięciem krzyżowym, przejmując dwie podwójne nitki na wysokość i szerokość. Ściegi otaczające należy najprzód wykonać aplikacją, czyli po wycięciu figury pozostawić na jeden ścieg miejsce. Druga dolna przegroda również na pluszu tegoż koloru podług deseni Nr 12 i 14 w tymże Bluszczu. Wstążka ponsowa atlasowa ułożona w pukle i końce zdobi część wierzchnią.

Poduszeczka na toaletę. (Ścieg płaski).

Rycina Nr 18 i 19.

Poduszeczka wykonana na kanwie niedzielonej rozmaitego koloru filozelą i złotą nitką.



Nr 13. Suknia z kaszmiru i jedwabnego materiału.

Kwiatki wykonać jedwabiem koloru stalowego i terracota, oraz złotą nitką. Liście i gałązki jedwabiem koloru zielonego i oliwkowego w kilku cieniach. Tło jedwabiem koloru kukuruzowego. Spodnią część poduszeczki pokryć gładkim atlasem, a brzegi fałdowanym koloru poziomkowego. Kokardy z wstążki jedwabnej koloru poziomkowego, oraz oliwkowego 3 centymetry szerokości.

Suknia z indyjskiego kaszmiru i bengliny.

Rycina Nr 10 w Bl. Nr 7.

Prawy bok ułożony w wazkie fałdowane plisy z bengaliny koloru jasno-orzechowego. Dalej kaszmir indyjski tegoż koloru, ozdobiony haftem wykonanym jedwabiem zielonym. Stanik z bengaliny odpowiednio haftem ozdobiony i napiersnik kaszmirowy. Rękawy w połowie z bengaliny, w połowie z kaszmiru.

Suknia z materiału welnianego w kraty.

Rycina Nr 12 w Bl. Nr 7.

Spódniczka z podszewką pokryta z lewego boku od góry częścią materiału welnianego w kraty, zakończoną falbaną 30 cent.

wysoką, częścią układaną w fałdy, częścią marszczoną. Wierzchnia tiunika ułożona podług ryciny, uniesiona na 30 cent. od górnego brzegu kłamrą z perłowej masy koloru popielatego. Stanik z krótką baskiną włożoną pod spódnicą przyozdobioną jako i rękawy czarnym aksamitem, zapinany na lewym boku wzdłuż bocznego szwu. Pasek aksamitny.

Suknia z materiału welnianego i repsu jedwabnego.

Rycina Nr 16 i 18 w Bl. Nr 7.

Spódniczka z podszewką 200 cent. szer., otoczona w dolnym brzegu materiałem zielonym na 9 cent. wysoko i zaopatrzona w górnym brzegu stawkami 26 i 30 cent. długości. Wierzchnia część z zielonego materiału jedwabnego repsowego zmarszczona w przedniej części, 80 cent. szerokości, ułożona w górnym brzegu w drobne zakładeczki. Dalej zaś materiał welniany przyozdobiony haftem maszynowym, wykonanym jedwabiem zielonym do cieniu. Stanik podług ryciny w połowie z materiału welnianego ozdobionego haftem, w połowie z repsu w wazkie ułożonego zakładki.

Przepisy gospodarskie.

Legumina z orzechów.

Funt orzechów włoskich, wybrawszy tylko z lupin, utłuc w moździerzu, zostawiając jeden,

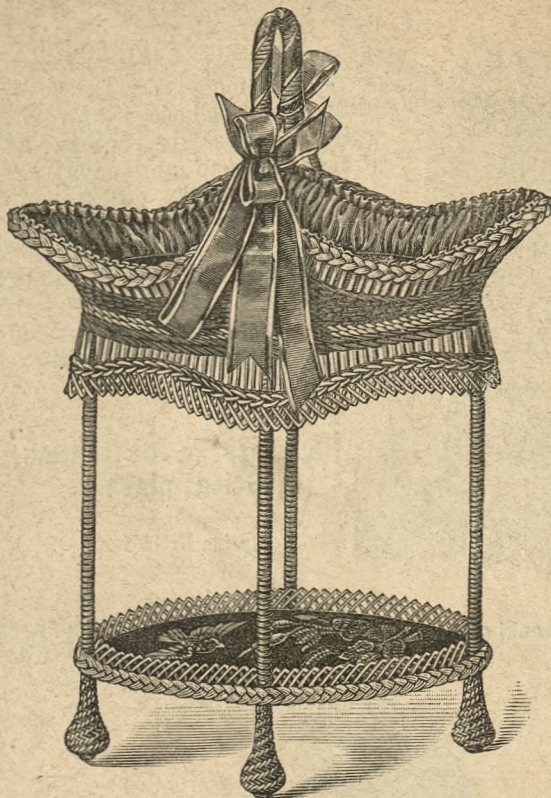


Nr 11. Sukienka dla panienki od 13—15 lat (do ryc. Nr 16). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IV, fig. 31—42.

Nr 10. Sukienka dla panienki od 14—16 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 43—50.



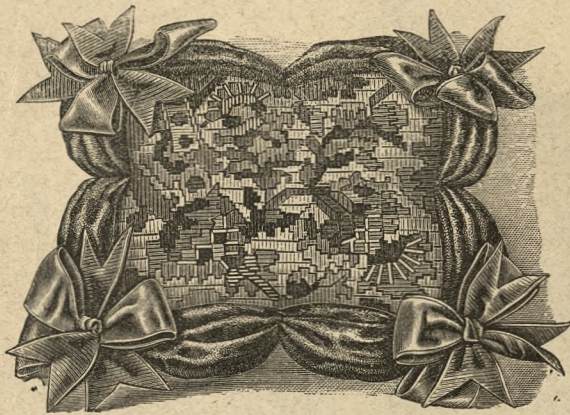
Nr 16. Suknia dla panienki od 13 — 15 lat (do ryc. Nr 11). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 31—42.



Nr 15. Postumencik do robót ozdobiony aplikacją.



Nr 17. Suknia z sukna i jedwabnego materiału (do ryc. Nr 12). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—11.



Nr 18. Poduszcзка na toaletę. (Ścieg płaski do ryc. Nr 19).

którym się wysmarowywa rondel lub forma, bo orzechy są tak tłuste, że zastępują w tym razie zupełnie masło. Rozetrzeć w donicy od ciasta 8 żółtek z pół funtem miążkiego cukru, gdy te dobrze uwiercone dobierać po trochu orzechy i trzeci jeszcze pół godziny — gdy już massa ma iść do formy, ubić pianę z białek, mieć przygotowane 4 łyty kartoflanej mąki przesianej — dobierać do masy po łyżce piany i pudrować z lekka mąką po pół łyżeczki aż wszystko wyjdzie — natychmiast do pieca miernie gorącego na trzy kwadransy. Po upieczeniu ubrać konfiturami lub galaretą. Można upiec także na dwóch równych patelniach, kładąc masy po połowie — na upieczoną jedną posmarować marmoladą konfiturową z malin, agrestu, moreli lub jablek — przykryć drugą, z wierzchu ubrać całemi konfiturami i podać jak tort orzechowy na leguminę. — W braku dwóch patelni — połowę upiec na jednej, a drugą połowę gotowej masy wynieść na zimno — po upieczeniu jednej, na tej samej patelni upiec drugi blacik — następnie jak wyżej.

Chcąc mieć prawdziwy większy tort należy podwoić masę.

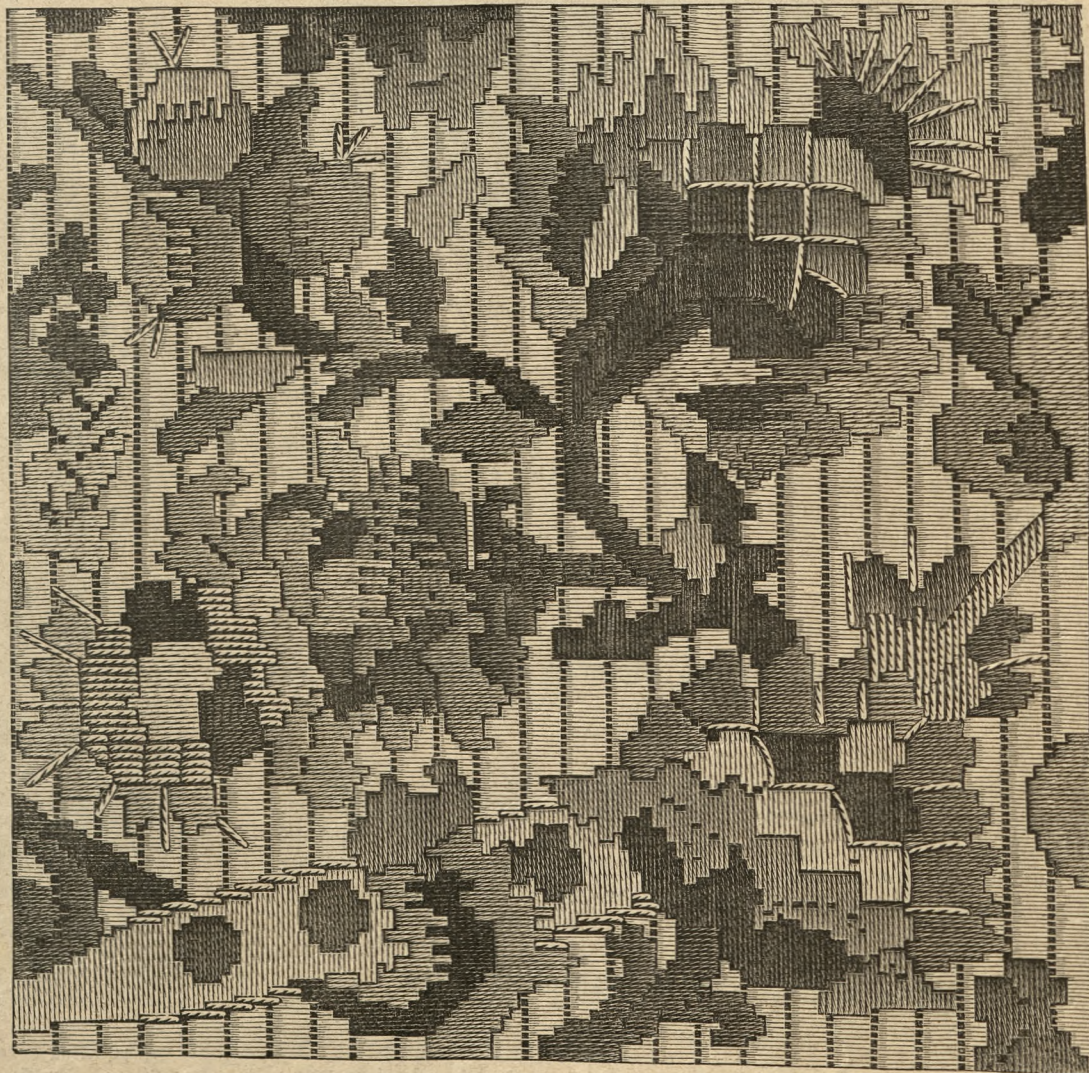
L. C.

Kokielki z pozostałego zająca.

Po zjedzeniu zająca na obiad, zostają kawałki mniej smaczne, z których robią się rozmaite rzeczy, paszteciki w kruchem cieście, pierożki do rosółu lub barszczu w drożdżowym cieście — bigos z kapustą lub z kaparami itp. Wyborną odmianą są kokielki z takich resztek. — Obrąć zająca ze wszelkich kostek, choćby najdrobniejszych kawałczków. Do resztek z 1 jednego zająca

dla sześciu osób zagotować 1 1/2 bulionu wyborowego w trzech łyżkach wody — w rondelku włożyć łyżkę młodego masła, gdy się zagotuje, zaprawić odrobiną mąki, rozebrać tym bulionem, włożyć kawałki zająca, wlać łyżkę kwaśnej śmietany, kilka pokrajanych pieczarek marynowanych lub grzybków byle nie rydżów — pieczarki krajać się okrągło płasko — przykryć, niech się dusi — gdy się już trochę wydusiło, włożyć na muszelki — posypać parmezanem, polać młodem masłem z bułeczką i wstawić pod blachę, aby się z wierzchu zapiekło. Jeżeli jest głowa zająca ugotowana wyjąć mózg — zdjąć błonkę — pokrajać w kostkę i włożyć także między zająca, kładąc już w muszelki.

L. C.



Nr 19. Haft na poduszkę Nr 18. (Wielkość oryginalna).

Obiad na Niedzielę.

1. Barszcz czysty z uszkami.
2. Sztufada z makaronem.
3. Kalafior.
4. Indyczka z kasztanami.
5. Krem ze słodkiej śmietanki.

Uwaga.

Tablica krojów dołączona do Nr 5 Bluszczy objaśnia również wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze podane.